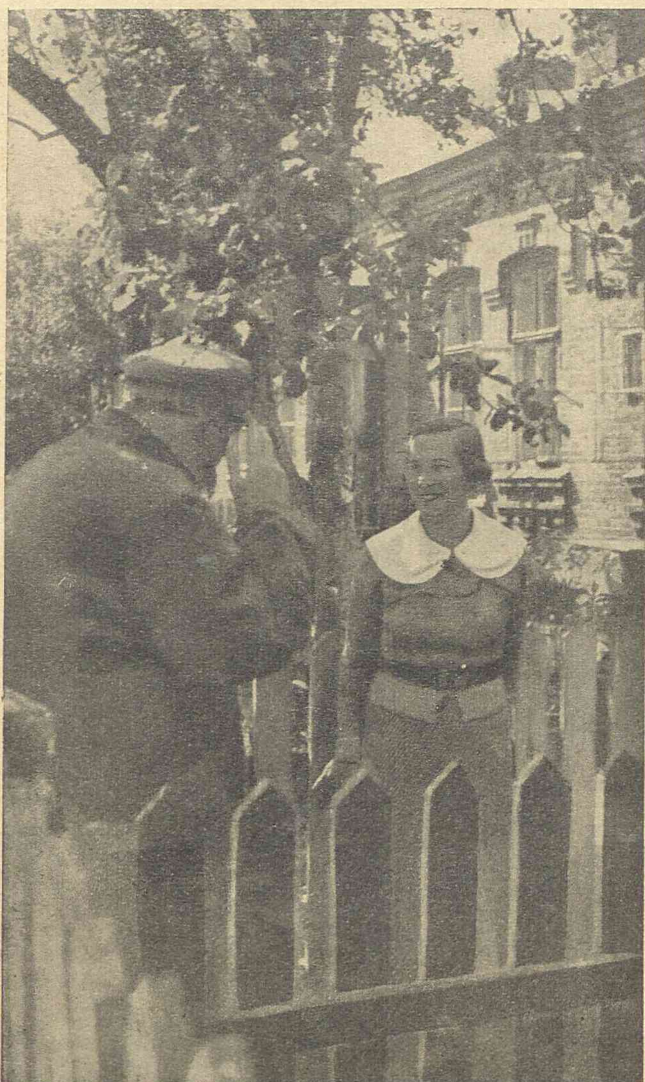
# ŚWIAT

Nr. 20. 16. V. 1936
CENA 1 ZŁ.



# Z NIELICZNYCH CHWIL WYTCHNIENIA



*Marszałek w dniu 17 maja 1934 r. trzymał do chrztu synka Władysława Daniłowskiego (Dana). Na zdjęciu pani Daniłowska przyjmuje Marszałka w ogródku swej willi w Zegrzu.*



*Marszałek po skończonych chrzcinach opuszcza willę pp. Daniłowskich w Zegrzu. Stopnie schodów, po których szedł, przystrojono kwiatami...*



*Marszałek wśród dzieci, zgromadzonych przed willą p.p. Daniłowskich.*

# ŚWIAT

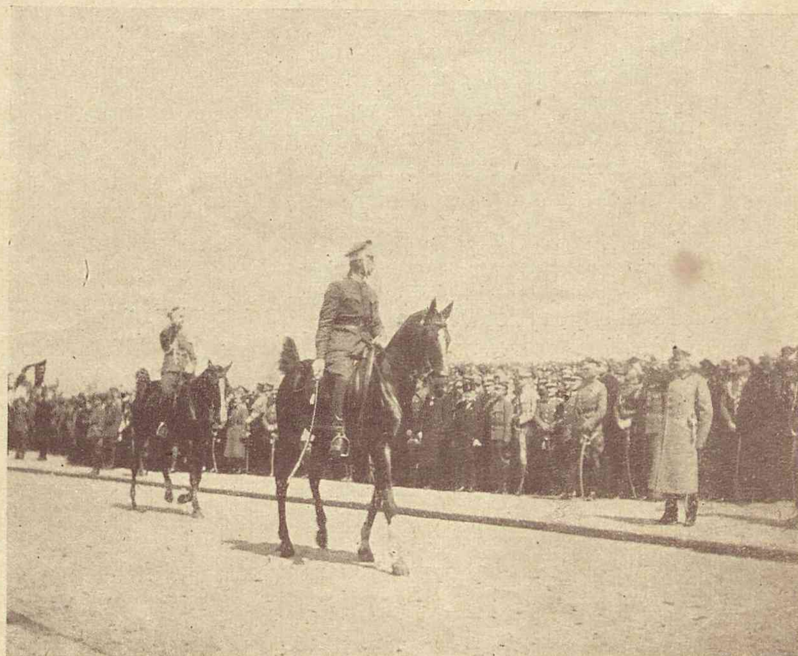
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 20 16. V. 1936


*Marszałek wśród oficerów (r. 1919).*



*Zdjęcie na prawo: Rewja wojskowa pod Cytadelą.*



*Marszałek w gronie najbliższych współpracowników.*

*Zdjęcia Wiktora Kurmana.*

# LEGENDA I CZYN



Państwo Polskie jest tym pomnikiem, jaki sobie sam wzniósł Józef Piłsudski. Żaden pomnik wzniesiony przez współczesnych nie dorówna majestatem i potęgą temu pomnikowi, który z legendy o przeszłości polskiej zrosłej z legendą o przyszłości, z marzenia i snu stał się czynem. Legenda, wypływająca z najszczytniejszych, najgłębszych skarbców ducha polskiego dzięki woli, wytrwałości, uporowi, wieszczemu nakazowi, przeistaczała się, przekuwała w wielki, olbrzymi czyn, zakończony pod Łukiem Tryumfalnym Narodu, na którym dzieje świata wypisały nanowo dwa proste wyrazy: Państwo Polskie.

Legenda Józefa Piłsudskiego, bojownika o wolność i niepodległość, w tem czerpała swą moc i siłę, że stała się tętnem serc i pragnień najmłodszych, najgorętszych, najofiarniejszych serc.

Legenda przeistaczała się w czyn.

Państwo Polskie powstało, utrwaliło się, sięgnęło po rangę mocarstwa.

Państwo Polskie istnieje.

Olbrzymi gigantyczny pomnik trwa.

Zbyt blisko jesteśmy od żałobnej chwili, gdy Twórca polskiego czynu opuścił ziemię, dla której żył, pracował, walczył, aby już dziś silić się na definitywne oceny czy syntezy.

Ten jednak wielki, olbrzymi pomnik, który dla wielu jest spuścizną najświętszą, wymaga nietylko słów chwały, i patosu: wymaga kontynuowania pracy, walki, wymaga, aby włożona weń treść odpowiadała wielkości, jaka się mieści w tych dwuch naturalnych prostych wyrazach: Państwo Polskie!

Ciągłość państwowej legendy dała nam moc i wiarę, które w dniach decydujących umożliwiły przeistoczenie się w czyn.

Ale równocześnie obok czynu dwa słowa utrwalić musimy w świadomości powszechnej: *obowiązek, odpowiedzialność.*

Oto spuścizna, oto słowa, jakie kontynuatorzy pracy dla państwa muszą wyryć na cokole pomnika, któremu Państwo Polskie na imię.

Odpowiedzialność!

O tej odpowiedzialności mówił nam w swem pierwszem Orędziu Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Pierwszy obywatel Polski z wielkiem wyczuciem grozy chwili, z wielkiem wyczuciem odpowiedzialności zaznaczył, iż tylko „zbiorowa odpowiedzialność całego Narodu" może zastąpić wielki autorytet niezwykłej woli jednostki niezwykłej, od decyzji której zależał wielokrotnie rozwój wydarzeń, postanowień i kierunku drogi. Dziś po pierwszym roku rządów Polski — pozbawionej tego autorytetu i woli, jakie koncentrował w sobie Józef Piłsudski, konieczność tej zbiorowej odpowiedzialności wystąpiła jako najpierwsza potrzeba, najwyższy nakaz chwili.

Wydarzenia międzynarodowe, wydarzenia i trudności wewnętrzne świadczą o konieczności pracy i wysiłku całego narodu. Olbrzymie masy obywateli, które odczuły żałobę i których żal wielki był, nie mogą stać jakby poza nawiasem pracy, odpowiedzialności, nie mogą obojętnieć dla zagadnień państwowych, nie mogą nie brać udziału w tych wielkich konstruktywnych pracach, jakie są dziś niezbędne nie dla zwalczenia kryzysu tylko, ale przedewszystkiem dla przetwarzania polskiego piaskowca w granit podstaw Niepodległości.

Spełniony Czyn staje się znowu twórczą, odradzającą Legendą!

Masy ludu polskiego, masy młodzieży, masy inteligencji polskiej odczuły i uczyniły swoją legendę serca i czynu Józefa Piłsudskiego, walczącego i tworzącego Polskę. Te masy dziś to wielka, to główna, to jedyna siła państwa polskiego. Powołanie ich do odpowiedzialności za państwo, za jego byt, za siłę jego Niepodległości nie może stać się retoryczną formułką.

W myśl legendy, w myśl czynu Józefa Piłsudskiego ich współpraca to spuścizna, którą wykonać należy i to bezzwłocznie, bez straty dnia, godziny, minuty!

W chwilach żałobnego skupienia, w chwilach składania hołdu, w entuzjaźmie pietyzmu wspomnień, niech o tym nakazie, o tej spuściźnie powołania do pracy i odpowiedzialności całego narodu — przypomną sobie ci wszyscy, co za najbliższych i najistotniejszych kontynuatorów czynu i legendy chcą się uważać!

*Marszałek wraz z obecnym gen. Ins. Sił Zbrojnych Rydzem Śmigłym na konkursach hippicznych w Agrikoli w Warszawie (r. 1919).*





*17 maja 1934 r. Marszałek w willi Władysława Daniłowskiego (Dana).*

# CO MÓWIŁ MARSZAŁEK
## O PAŃSTWIE I BIUROKRACJI

*„Strzępy meldunków“ gen. Sławoj-Składkowskiego, książka wzruszająco szczera, oddająca z nabożną wiernością każde słowo Marszałka, odsłania między innemi głęboką troskę, jaką stale, od lat, stanowiła dla Niego kwestja administracji Państwa. Do dni ostatnich niemal — jeszcze w marcu roku ubiegłego — myśl Marszałka pracowała nad tą sprawą, którą uważał za podstawową w Polsce — i która ciągle jest jeszcze jednakowo aktualna.*

*Zamieszczamy poniżej niektóre wyjątki z tej wyjątkowej książki. Są to słowa Marszałka wypowiadane przeważnie podczas posiedzeń Rady Ministrów.*

### O administracji państwowej

Na Radzie Gabinetowej 17.X. 1930.

...Musimy zwrócić uwagę na trzy biedy.

Pierwszą biedą są urzędnicy, nazbyt rozbudowani co do liczby i wysokości poborów.

Drugą biedą jest pan Prystor z jego Opieką Społeczną.

Trzecią biedę stanowi pan minister Połczyński z jego dopłatami do cen żyta.

Ich wszystkich trzeba ukrócić, bez tego niema wyjścia.

■

6.XI.1930.

Stan finansów jest zły. Dlaczego tak jest?!

Mówię jeszcze raz o trzech workach: urzędnicy, interwencja zbożowa i bezrobocie.

Kwestja urzędnicza zależy zupełnie od nas. Na urzędników wydaje się dużo niepotrzebnych pieniędzy. Z tą kwestją urzędniczą mam do czynienia od maja 26-go roku i przegrałem ją haniebnie, między innemi, dzięki podwyżce poborów urzędniczych o 130 miljonów, w czasie mojej nieobecności w Polsce.

■

Luksus wszędzie! Jakie macie prawo tak rozporządzać pieniędzmi?!

■

Wasz system jest centralizacją tak śmieszną, że nie jest już centralizacją nawet, a przeszkadzaniem w pracy. Pozatem, te coraz nowe wydatki w poborach urzędników!

Dziecko ma — płać. Żonę ma — płać! ... się źle — płać, ciągle płać!!

■

Mówiłem ciągle, nie podnosić poborów, chyba najzdolniejszym i pracowitym.

Panowie z urzędnikami pakty zawieracie i po .... ich całujecie.

■

28.XI.1930.

Na porządku dziennym jest kwestja urzędnicza.

... Mam największą pogardę dla siebie samego, że kwestji urzędniczej nie potrafiłem przeprowadzić. Zjada nas ten dodatek, dany urzędnikom, a nie mamy dobrych urzędników.

W systemie całej pracy urzędników jest usunięcie siebie od wszelkiej pracy wobec ministrów i panowie indolentnie to popieracie.

Indolencja jest wadą Polski. Dlatego mamy do czynienia z budżetem, który nie ma sensu, bo gubi się on dla urzędników.

Poco zbierać podatki na nich. Tak zwane gażowe budżety nie mają kultury pracy. Ten system indolencji do wszystkiego, co jest osobą, jest tak charakterystyczny dla Polaków.

■

Ludzi bez pracy jest w urzędach więcej jak trzecia część, to napewno. Wobec tego, że ja tylko robiłem porządek w personaljach, a indolentni ministrowie — nic, znajdowałem wszędzie przeszkody w postaci mafji urzędniczych.

To są dranie w tych mafjach, a panowie chcecie tylko wygody mieć. „Niech, niech, niech jeszcze służy“... — mówicie, gdy niema pieniędzy.

... Jeden ze sposobów w Polsce: gdy kto jest dureń, to pchnąć go wyżej, bo wtedy nie będzie przeszkadzał w pracy, a dół będzie pracował.

■

7 maja 1932.

Użył on (Szef Gabinetu) już wszelkich sposobów, by wytrzymać sytuację finansową, ale dla zamknięcia budżetu zostaje mu jedno tylko — obciąć gaże o 10 procent. Ja powiedziałem, że chcę, aby gaża, dla wyrównania, nie była tak jednolicie zmniejszana, ale u większych — 10 procent, a mniejszych urzędników — 7 lub 8 procent, by zaznaczyć różnicę socjalną .

(Jak wiadomo, słynne przeszeregowanie uposażeń, dokonane później, zupełnie nie zastosowało się do tych postulatów Marszałka. Dygnitarze otrzymali sute podwyżki, a najdrobniejszym płotkom poobcinano głodowe pensje, aby dla tamtych starczyło na hojne dodatki. Przyp. Redakcji).

### Chaos w rozporządzaniu groszem publicznym

14 czerwca 1933.

Największe wydatki, swego czasu, w Ministerstwie Robót Publicznych, szły na opracowanie planów szos, których później nie budowali i których nikt nie zobaczy, gdyż brakło pieniędzy...

### Dodatki funkcyjne

23 stycznia 1934.

Pan Marszałek spojrzał jeszcze raz na tablice dodatków funkcyjnych i, wskazując palcem na miejsce, gdzie jest uwidoczniony dodatek dla Marszałka Polski, powiedział tonem znów surowym:

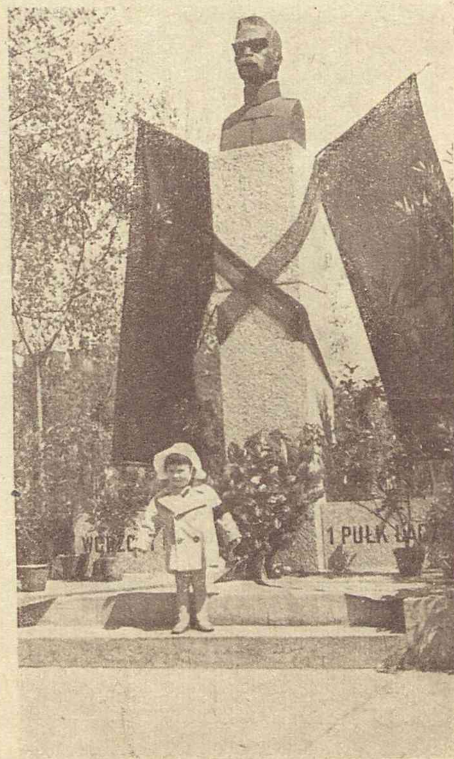
„Poco ja podpisywałem pożyczkę, kiedy teraz mi to zwracają... Będą się z Polski śmiać, że bierze pożyczki i zaraz zwraca. Otóż, jak wy to robicie“.

### O awansach

2 marca 1935.

„Ta mała protekcja w Polsce — Polskę powoli zniszczy. To najbardziej świńskie narzędzie zepsucia... Jest w tem masa brudu i paskudztwa“...

*Zdjęcie na lewo: Matka Marszałka Piłsudskiego, której trumna dnia 12 b. m. spoczęła na Rossie, wraz z Sercem Syna.*



*Zdjęcie na prawo: chrześniak Marszałka, mały Gucio Danilowski, składa wianuszek u stóp pomnika Marszałka w Zegrzu podczas uroczystości żałobnych w maju 1935*



Nazajutrz po powrocie z Magdeburga. Marszałek i Wieniawa-Długoszowski przed hotelem Brühlowskim, rok 1916.



Rok 1919. Marszałek przyjmuje defiladę piechoty przed hotelem Bristol w Warszawie.



Nazajutrz po powrocie z twierdzy Magdeburskiej. Marszałek wraz z Wieniawą-Długoszowskim podczas przechadzki na ulicy Królewskiej w Warszawie





*W dniu otwarcia pierwszego Sejmu, na dziedzińcu Sejmowym (r. 1919)*

# Z PIERWSZYCH LAT PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ

*Naczelnik Państwa z Nuncjuszem Rattim, obecnym papieżem Piusem XI.*



*Marszałek w otoczeniu wyższych szarż oficerskich.*



*Marszałek wraz z gen. Hallerem (1-szy z prawej), min. wojny Leśniewskim i gen. Wieniawą-Długoszowskim.*

# MARSZAŁEK WITA GEN. HALLERA W WARSZAWIE, 1919 R.



*Marszałek na Dworcu Głównym w Warszawie, z lewej gen. Sosnkowski.*



*Marszałek wita się z Szefem ówczesnej Misji Wojskowej francuskiej.*

# POŁÓW PEREŁ



### Bardzo mądry dekret

Ustalony ostatnio przez Radę Ministrów dekret o dygnitarzach państwowych jest jednym z najmądrzejszych, jakie się ukazały od czasu odrodzenia Państwa polskiego. Oto urzędnik państwowy nie będzie mógł odtąd korzystać ze swego stanowiska, aby przygotowywać sobie dalszą, lukratywną karjerę w przedsiębiorstwach państwowych, dzięki wyrobionym na dygnitarstwie stosunkom, ani dzięki posiadanej na tem stanowisku władzy. Skończą się — oby naprawdę — wszelkie „rady nadzorcze", „dyrektorstwa", „prezesury", „synekury", łączenie emerytur z dobrze płatnemi nowemi posadami, etc.

Kary przewidziano — i to surowe — za przekroczenie dekretu. Np. emerytowany urzędnik, któryby jednak wkręcił się na taką ciepłą posadkę, traci natychmiast prawo do emerytury, zwrócić musi wszystkie pieniądze pobrane z kasy państwowej i płacić będzie podwójną stawkę podatku dochodowego od swego nowego uposażenia w przedsiębiorstwie.

Ostracyzm ten obowiązuje przez trzy lata od opuszczenia służby.

Gdyby się był ten dekret ukazał nie w roku 1936, ale chociażby w 1930, bardzo wiele etatystycznych wybujałości, gnębiących społeczeństwo, byłoby zwiędło w zarodku. Dobrze, że chociaż późno, przyszedł wreszcie właściwy pogląd sfer miarodajnych na tę sprawę.

### Nadzór nad „Wspólnotą Interesów"

Jak donosi „Robotnik", słynna „Wspólnota Interesów" na Śląsku wykazała ostatnio „tylko" 4 miljony strat. Jak wiadomo — „Wspólnota Interesów" jest pod nadzorem. Zapewne panowie nadzorcy stosują wobec tak katastrofalnej sytuacji przedsiębiorstwa *najdalej idącą oszczędność?*

A właśnie.

Oto zamówili jakoby 10 nowych samochodów luksusowej niemieckiej wytwórni „Mercedes".

Różne bywają poglądy na „konieczne" wydatki administracyjne...

Możeby panów nadzorców wziąć pod nadzór?

### Nasi przyjaciele-sąsiedzi

Od nowego roku szkolnego rozporządzeniem rządowem znosi się w Niemczech wszystkie prywatne szkoły powszechne. Mniejszość polska w Niemczech posiada w chwili obecnej 59 takich szkół, do których uczęszcza 1634 dzieci. Szkoły te przestaną istnieć, a dzieci polskie zmuszone będą do nauki w szkołach niemieckich.

Kiedy rewanż ze strony polskiej?

### Zagraniczne żuliki

Afera „Feniksa" w Wiedniu nie pachnie. Panama w wielkim stylu. Towarzystwo to miało, jak wiadomo, swą filję i w Polsce. Niedobory jej wynoszą obecnie podobno do 6 miljonów złotych. Kto te straty odczuje na własnej skórze?

Warto podkreślić, że gdy w swoim czasie władze polskie zaczęły roztaczać kontrolę nad działalnością „Feniksa" w Polsce — rząd austrjacki wystąpił z interwencją, wyrażając „zdziwienie, że działalność tak solidnego przedsiębiorstwa może budzić nieufność".

A jednak to władze polskie miały rację.




### Jakże im się opłaca?

Mieszkańcy stolicy uginają się — wszyscy bez wyjątku — pod ciężarem nadmiernie wyśrubowanych cen za komorne. Jeśli do tego dodamy, *że każde mieszkanie trzeba opłacić t. zw. odstępnem* (na ręce wychodzącego lokatora, albo nawet poprostu właściciela domu), to sprawa mieszkaniowa w Warszawie przedstawi się w swym istotnym tragizmie. Właściciele domów tłomaczą się, że czynszu obniżyć nie mogą ze względu na podatki.

W Poznaniu też płaci się podatki. I w Poznaniu za komfortowe mieszkanko dwupokojowe z łazienką, pokojem dla służącej, bieżącą wodą ciepłą i zimną, oraz opłatą za opał — płaci się w domach ZUPU ... *60 zł. miesięcznie!*

Za takie mieszkanko w Warszawie żąda się *250 i 300 złotych miesięcznie.*

Dlaczego w Poznaniu ten czynsz się opłaca — a w Warszawie nie?

### Amory księcia Pepi

„Chałupinka niska", która stała na rogu Alei Ujazdowskich i Koszykowej, szpecąc w sposób niebywały tę jedyną kulturalną arterję stolicy — znikła, chwała Bogu, z powierzchni ziemi. Przy regulacji dzielnicy Marszałka zawadzał ten domek, który dotychczas różni przesadni pietyści historyczni uznawali z uporem za „zabytkowy", „historyczny" i absolutnie nieusuwalny.

Co w nim było „zabytkowego"? Nic. Stylu nie miał wogóle.

Co w nim było „historycznego"? — Odbywał w nim swe spotkania miłosne z różnemi damami książę Pepi.

Pietyzm naszych historyków bywa czasem umieszczany w zabawnie niewłaściwem miejscu..

*Uparty nurek.*

ZOFJA NORBLIN-CHRZANOWSKA

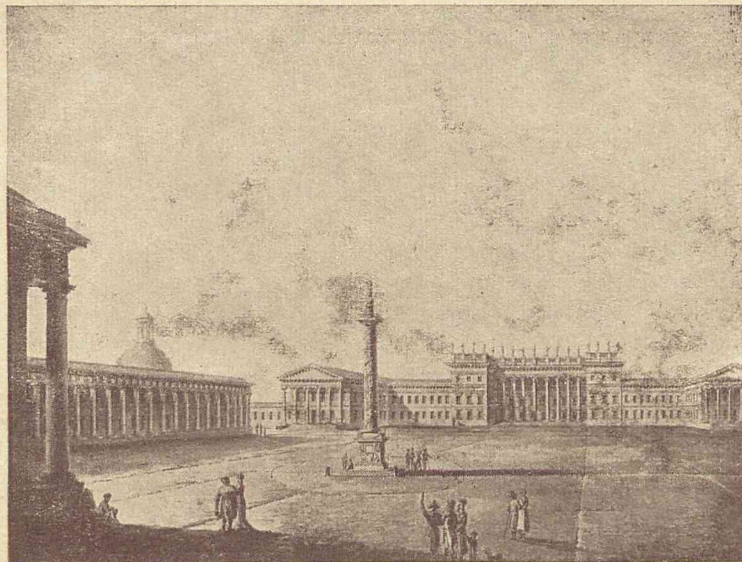
# WARSZAWA W OBRAZACH

Wystawa, która gości obecnie w „Zachęcie" jest szlachetną i pomyślną propagandą piękna stolicy. Chodzimy po salach, wypełnionych fragmentami Warszawy w interpretacji artystów różnych epok i zdumiewamy się: czyżby ta nasza stolica miała naprawdę tyle uroku?

Dział retrospektywny wystawy mówi o tem, jaka Warszawa była, i jak ją widzieli artyści wieków minionych. Wysuwa się tu na plan pierwszy Canaletto, którego sztuka w olśniewający sposób odtwarza Warszawę wieku XVIII. Obrazy Canaletta zbyt są znane i uznane, aby trzeba było jeszcze podkreślać ich wartości. Należy jednak stwierdzić, że każde nowe spotkanie z tym mistrzem jest radością dla oczu, i że nigdy dość nie można się napatrzeć jego dziełom, które w najszczęśliwszy sposób łączą historyczną wierność portretowanego miasta z niezwykłym darem kompozycji, oraz umiejętnością przedziwnego ożywienia pejzażu mnogością figur, wprowadzających nas bezpośrednio w życie epoki.

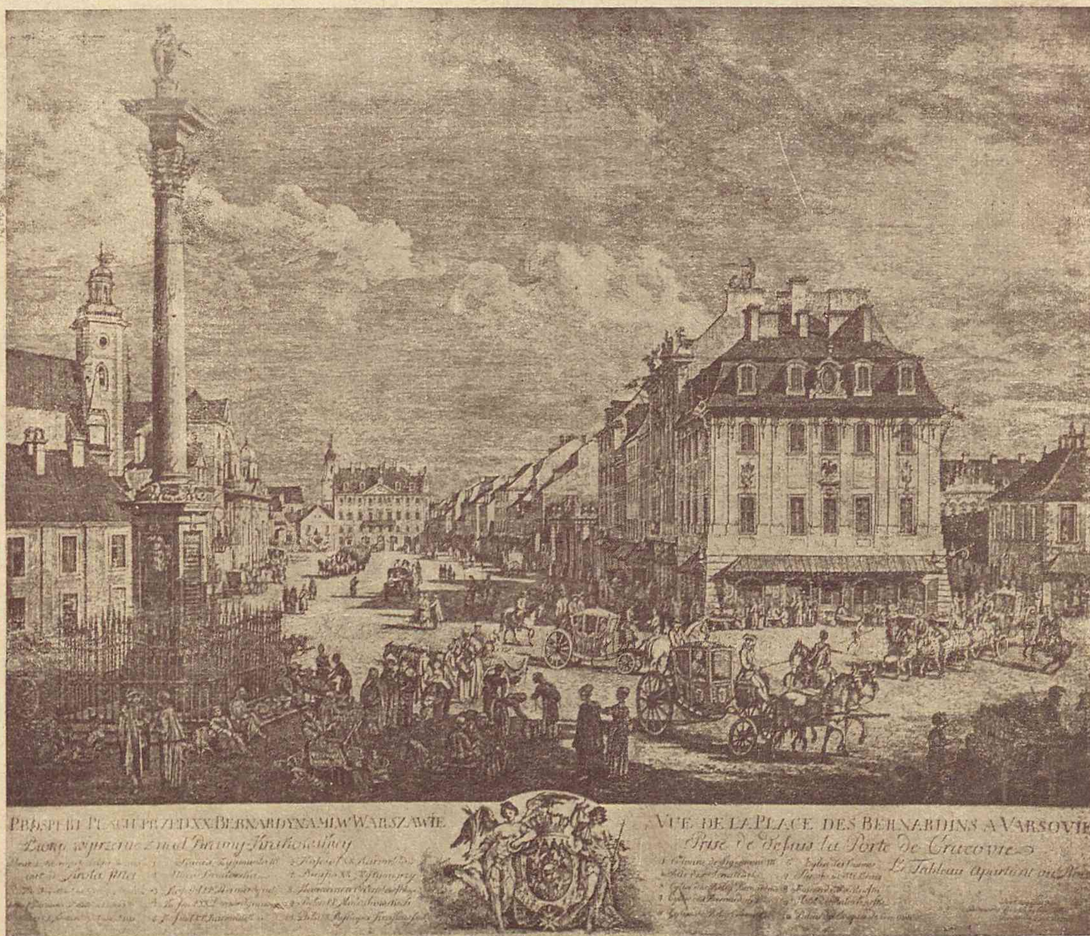
Wspaniały obraz ze zbiorów Rajnolda Przezdzieckiego „Widok Warszawy od strony Pragi" jest jednym z najpiękniejszych przykładów mistrzowskiej sztuki Canaletta. Sylwety miasta tworzą tu właściwie plan drugi. Plan pierwszy zaś — to sielski wówczas brzeg praski, gdzie karoce możnych ocierają się o chłopskie chałupinki. Wstęga Wisły przedziela te dwa plany płaszczyzną bynajmniej nie obojętną, którą artysta zaludnił mnóstwem łodzi, czyniąc z Warszawy jakąś feeryczną Wenecję.

Inny zupełnie typ artysty — to Vogel, którego działalność przypada na koniec wieku XVIII i początek XIX. Jego akwarelowe widoki Warszawy, choć nieco suche w fakturze, odznaczają się bardzo przyjemnym kolorem, stonowanym i dyskretnym, oraz zawsze przemyślaną i harmonijną kompozycją. Warszawa Vogla — to miasto parków i pałaców, zdumiewające ilością zieleni, pełne poezji i wiejskiego niemal nastroju. Wystawiony ciekawy „Projekt przebudowy placu Saskiego" Vogla jest dowodem, że już wtedy — przeszło sto lat temu — sprawa rozwiązania urbanistycznego tego najbardziej centralnego placu stolicy zajmowała umysły artystów.

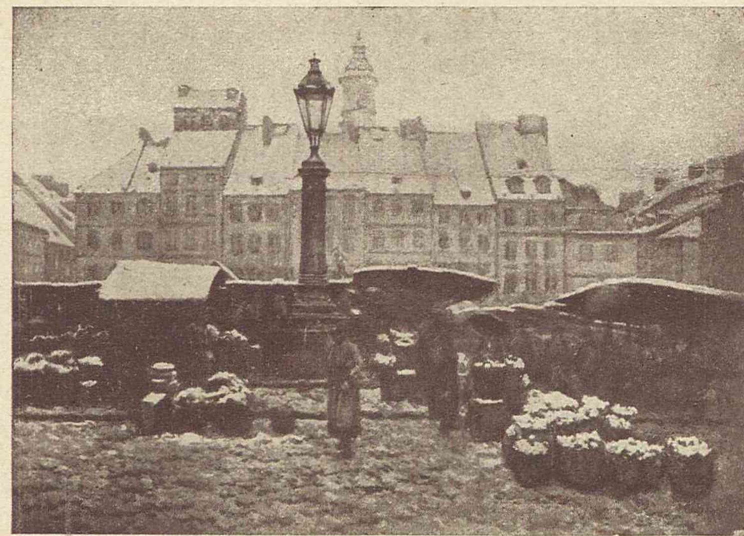


*„Projekt przebudowy Placu Saskiego".* *Zygmunt Vogel.*

Czarujący obraz Kostrzewskiego „Ogród Saski" daje fragment obyczajowości Warszawy z połowy wieku XIX. Kostrzewski malował swój obraz z zamiarami poniekąd satyrycznemi. My dziś — patrząc na ten zabawny ale wytworny tłum, spacerujący po Ogrodzie Saskim na tle kolumnady, wzdychamy do epoki, która nie była tak rozpaczliwie zdemokratyzowana jak dzisiejsza. Saski Ogród był




*„Plac przed Bernardynami".* *Canaletto (B. Bellotti).*



*Tadeusz Cieślewski.* *Targ na Starem Mieście.*

Warszawie. Wiele prac jego — to także już dziś karty przeszłości, które powinnyby się znaleźć w zbiorach stolicy, jako zapoczątkowanie Muzeum Starej Warszawy. W dziełach tego artysty już widz dzisiejszy znajduje nieistniejące obecnie szczegóły architektoniczne. Za lat kilkadziesiąt będą to dokumenty Warszawy wieku XIX, tak obrazy Canaletta są dokumentami Warszawy z epoki stanisławowskiej.

Rzeczowość, sumienny realizm, z jakim Cieślewski traktuje swe tematy, stanowi w tym wypadku cenną zaletę, jeśli idzie o przechowanie obrazu Warszawy tąkiej, jaką była naprawdę.

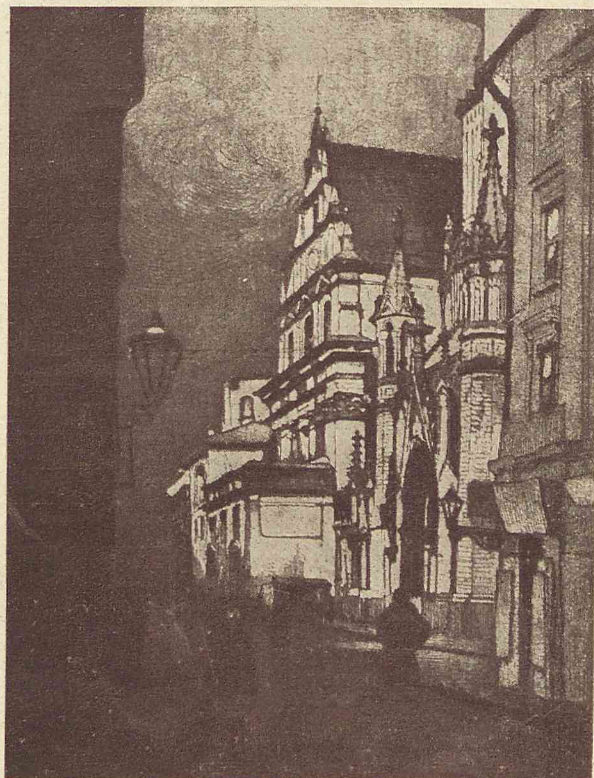
Bardziej subjektywnie przystępuje do swej pracy Kopczyński, który wielokrotnie malował zarówno fragmenty artystyczne Warszawy, jak i różne osobliwe, malownicze rudery, które przetwarza si-

wtedy naprawdę letnim salonem Warszawy. Stąd może urok tego obrazu — urok rzeczy bezpowrotnie minionych.

Akwarele Albertiego odtwarzają fragmenty architektoniczne miasta bardzo objektywnie, z miłą kolorkową dokładnością. Są niemal zabawne w swej pilności. Marcin Zaleski miał więcej tonów na palecie, czego dowodem dwa widoki Zamku Królewskiego, jeden ze Zbiorów Tow. Zachęty, drugi z kolekcji Wł. Weyssenhoffa. Odtwarzana przez tego artystę Warszawa częściowo już nie istnieje, a że portretował ją wiernie, obrazy jego stanowią nieocenione dokumenty przeszłości.

Serja fragmentów Warszawy Wojciecha Gersona (litografowanych przez Ceglińskiego) — to wodotryski, których wówczas, w drugiej połowie XIX w. było niestety więcej, niż obecnie. Kto pamięta urok Rzymu, zwielokrotniony przez setki jego żywych rozśpiewanych fontann, ten z przykrością mi ja nieliczne — i wyschnięte — wodotryski warszawskie. Gdzie się podziała np. fontanna z Placu Teatralnego, którą widzimy na litografji Gersona?

Przejściem od Warszawy minionej do Warszawy dzisiejszej są prace Tadeusza Cieślewskiego (ojca), który całą niemal swą działalność poświęcił



*Zofja Stankiewiczówna.* *Ulica Świętojańska.*

łą swej sugestji na jakieś barwne wizje. Kopczyńskiemu nietyle chodzi o fotograficzną ścisłość odtwarzanej architektury, ile o stworzenie impresji barwnych na odpowiadający mu temat. Taka jest „Winiarnia Fukiera“, z widokiem na Rynek Starego Miasta przez uchylone drzwi. Takie są: „Knajpa pod Retmanem“, słynna nadwiślańska spelunka, oraz dwie akwarele odtwarzające uroki innej knajpy, „Kasztelanki nad Wisłą“.

Bardzo piękny „Fragment Zjazdu“ wystawiła Michalina Krzyżanowska, stawiając sobie zadanie wyłącznie kolorystyczne: obraz jej utrzymany jest w tonach szarych — niebo, domy, dachy — z paroma jaskrawemi akcentami czerwieni wozów tramwajowych. Artystka ta nie traktuje pejzażu miejskiego z niewolniczą ścisłością, lecz uważa go za pretekst dla swych kompozycji barwnych.

Mistrzowski obraz olejny Józefa Pankiewicza, zatytułowany „Stare Miasto“, wychodzi z tych samych założeń. Nastrój szarego, mglistego dnia jesiennego wydobyty jest nieporównanie.

Natolski dał lekki, z wielką swobodą rysowany



*Marjan Trzebiński.* *Nowy Zjazd.*

fragment Wąskiego Bugaju. Ossecki — dwa widoki z Wilanowa, o motywie prawie identycznym, w dwu różnych oświetleniach. Duża kolekcja prac Marjana Trzebińskiego stanowi znów doskonały przyczynek realistyczny do ikonografji stolicy, i prace te powinny być zgromadzone przez Zarząd miejski, jako cenne dokumenty zmiennego oblicza Warszawy.

Mniej trafiają do przekonania obrazy Żukowskiego, odtwarzające wnętrza Pałacu w Łazienkach. Nadmierna jaskrawość kolorów, męcząca dokładność fotograficzna, zupełny brak nastroju — oto rezultat niewłaściwie pojętej chęci trzymania się wiernie rzeczywistości, bez pozwolenia sobie na jakąkolwiek interpretację. Wnętrza łazienkowskie — te piękne stanisławowskie wnętrza — są tu martwe, wulgarne i pozbawione uroku.

Interesująco przedstawia się, jak zwykle w Polsce, dział grafiki.

Wyczółkowski — mistrz nad mistrze — góruje oczywiście nad wszystkimi. Wystawione w „Zachęcie" autolitografje oszałamiają swobodą techniki, natchnionym rozmachem i tym żywym, osobistym stosunkiem do tematu malarskiego, jaki cechuje każdą pracę Wyczółkowskiego. Patrząc np. na przepyszną autolitografję „Dachy Staromiejskie", widz oczarowany przyznaje: nikt tak nie narysuje dachu, jak wiecznie młody stary Wyczół. Po chwili przychodzi reminiscencja: ale nikt też tak nie odda uroku kwitnącej gałęzi jabłoni, albo grozy poplątanych konarów odwiecznego drzewa w lesie. Poprostu — nikt w chwili obecnej nie włada tak jak Wyczółkowski pendzlem i ołówkiem. I nikt z młodych dorównać mu nie może w niezmiennym, młodzieńczym entuzjazmie i radości tworzenia. Mistrz — na miarę najwyższą.

Inni graficy dali jednak również rzeczy bardzo interesujące. Oryginalna jest fantastyczna wizja „Warszawy z Syrenami" Konstantego Brandla. Świetne — autolitografje i linoryty Feliksa Jabłczyńskiego. Oto znów artysta, który odrzucił w swej sztuce więzy realizmu, i przetwarza rzeczywistość przez własną wrażliwość i własne spojrzenie na świat. Najpiękniejszem dziełem Jabłczyńskiego, wystawionem obecnie w „Zachęcie", jest linoryt „Kościół OO. Pijarów".

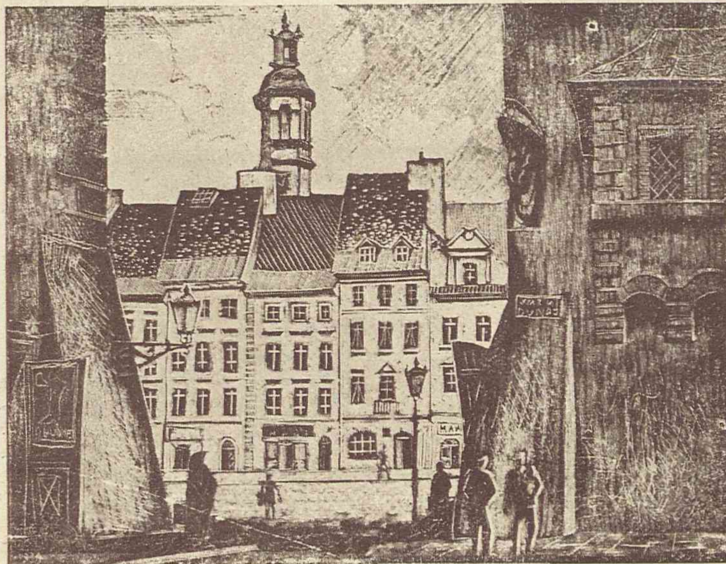
Skoczylas w swej znanej tece drzeworytów poświęconych Warszawie, interpretuje ją w sensie dramatycznym, stosując swą wyrazistą technikę syntetyczną. Drzeworyty te stanowią piękny przykład sztuki zmarłego mistrza.

Zofja Stankiewiczówna dała szereg bardzo wytwornych akwafort, poświęconych przeważnie fragmentom dzielnicy staromiejskiej. Kulturalne, na wysokim poziomie technicznym utrzymane akwaforty tej artystki, również powinny znaleźć się w Zbiorach miejskich. Józef Tom wystawił kilka dobrych autolitografji, z których najlepszą wydaje mi się „Fragment Pałacu Brühlowskiego".

Tadeusz Cieślewski (syn) dał kilkadziesiąt prac graficznych technicznie znakomitych, a pod względem kompozycji zawsze ujętych ciekawie. Drzeworyty, linoryty i akwaforty tego artysty, poświęcone Warszawie, należą do rzeczy najlepszych na obecnej wystawie. Cieślewskiego dziełem jest pozatem estetyczny układ katalogu, wydanego bardzo starannie.

Reasumując — „Warszawa w obrazach", jak zwykle wystawy poświęcone określonemu *tematowi*, nie zaś jednolitemu *kierunkowi sztuki*, stanowi całość raczej eklektyczną. Jednak ilość dzieł wartościowych jest tym razem znaczna. Widz ogląda wystawę z zainteresowaniem i wychodzi niemal pokrzepiony na duchu: wcale się przedtem nie domyślał, że Warszawa może być taka piękna.

Wielki tryumf sztuki nad rzeczywistością...



*„Stare Miasto"* *Tadeusz Cieślewski (syn).*



*„Kolumna Króla Zygmunta".* *Drzeworyt Wł. Skoczylasa.*

# PRZED ZAWINIĘCIEM DO JAPONJI

*Zamieszczamy poniżej wyjątek z interesującej książki Fryderyka Kulleschitza p. t. „Rejs dokoła świata". Książka ta, która ukazała się w ostatnich dniach na półkach księgarskich nakładem „Roju", uzyskała zaszczytne odznaczenie — nagrodę im. Jerzego Szareckiego, ufundowaną przez rodziców przedwcześnie zgasłego utalentowanego młodego marynisty. Sąd konkursowy stanowił Zarząd Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich.*

Na Pacyfiku nie spotkaliśmy ani jednego parowca, ani jednego żaglowca. Tylko przy wejściach i wyjściach z portów ukazywały się statki handlowe, wielkie, ładowne carga, dymiące czarnemi kłębami.

Wychodząc na morze, płynęliśmy jakiś czas razem z innemi statkami, wnet jednak towarzysze nasi — czarne ponure sylwetki — znikały za linją horyzontu, gubiąc się w niezmiernej przestrzeni Oceanu. Szliśmy szlakiem samotnym, odcięci zupełnie od świata. Nawet wtedy, gdy niektóre odcinki kursu pokrywały się z drogami, uczęszczanemi przez transoceaniczne statki, żaden statek nie rozbłyskał światłami w nocy, a w dzień nie zadrasnął masztami czystego nieba ani jeden bark, ani bryg, ani brygantyna.

Pragnęliśmy, aby ciemna noc tropikalna spojrzała na nas choć jeden raz czerwono - zielonemi oczami świateł pozycyjnych okrętu, zabłąkanego w tę samą połać największego oceanu. Te żarzące się światła byłyby sygnałem istnienia czegoś innego prócz niekończącej się płaszczyzny wód.

Długi okres żeglugi wysubtelnił nasze poczucie wielkości ziemi, pełnej tajemnic. Jakże irytująca i zubożająca jest ta miara matematyczna, którą przykłada się obręczami równoleżników i południków do jej kulistości. Nauka pozwoliła ogarnąć fizyczną jej rozciągłość jedną krótką myślą. Wiedza wydarła światu jego urok. Marynarze z czasów złotego wieku żeglarstwa płynęli w zaczarowane kręgi, wypatrując legendarnych wężów morskich—obejmował ich lęk przed mieszkańcami drugiej półkuli, antypodami — olbrzymami chodzącemi na głowie.

Ale i teraz, gdy w mozole posuwaliśmy się naprzód i tyle tysięcy mil jeszcze pozostało, jakże śmieszna jest myśl o małości ziemi, o ciasnocie na świecie. Uboga myśl, spętana formułkami i zwięzłemi symbolami, wyzwalając się z łatwego światopoglądu, przyklejającego gotowe etykietki do zjawisk, plącze się w olbrzymim gąszczu wiedzy o człowieku, o rasach, o produktach i technicznych przemianach powierzchni ziemi; w zagadnieniach gospodarczych i politycznych w skali światowej, bliskich i rzeczywistych, chyba tylko dla obywateli państw, posiadających wielkie kolonje.



*Fryderyk Kulleschitz*

Jest to świat niemniej piękny od świata dawnych żeglarzy. Nikt nie spodziewał się spotkania z syrenami, ani cyklopami; leżała natomiast przed nami rzeczywistość tajemniczego Wschodu — narazie wymarzona — która miała za kilka dni roztoczyć przed naszemi oczami całą swą okazałość, zawiłość i prostotę, jasność i niezrozumiałość.

*

Wyż uformowany na północnym wschodzie od pozycji statku wróżył nam pomyślne wiatry na całej drodze do Japonji. Według zasad meteorologji, kierunek wiatru powinien się przesuwać za wskazówkami zegara. Ponieważ za parę stopni długości skręcimy na północ, spodziewać się należało stałego baksztagu. Podobnie jednak jak na lądzie nie można ufać przepowiedniom pogody, tak na morzu wszelkie uczone wnioskowania okazują się często zawodne.

Już w kilka dni później szybkość zmalała do sześciu węzłów. W południe nadciągnęła ławica delfinów. Pląsały w białych pióropuszach fali, w łamiących się promieniach słońca. Mieliśmy wtedy za sobą już daleko wyspy Marshall'a i Marjanny. Powietrze było jakieś cieplarniane. Widocznie dokonywał się w przyrodzie przełom: północ zaczęła się zmagać z południem.

Szybkość malała z każdym dniem. Jakby naprzekór naszym tęsknotom za lądem. Upłynął właśnie miesiąc od wyjścia z Honolulu i w dniu tym zrobiono w ciągu doby zaledwie 70 mil morskich. Nad wieczorem puszczono w ruch motor „całą naprzód". Kurs na północ ku wyspom Ogasawara. Była wtedy pełnia. Słup światła księżycowego wbił się w chmury stratus, rozciągnięte pasmami nad widnokręgiem.

Architektonika chmur ma czasem zdumiewające efekty: stożek świetlny odbijał się od granatowych ścian, załamywał się w płaskim pomoście i wpadał w pusty hall niebieski. W tym pałacu nadziemnym biegły korytarzami smugi delikatnych barw.

Potem Ogasawara pozostały po prawej burcie. Minęliśmy wyspę Wulkan dość blisko, niezauważywszy jej jednak, mimo, że locja głosiła, iż widoczną jest nawet z odległości siedemdziesięciu mil. Kurs prowadził odtąd szlakiem wulkanów podmorskich, tych samych wulkanów, które w straszliwem trzęsieniu ziemi w r. 1923 obróciły dwa miljonowe miasta: Tokjo i Yokohamę, w tragiczne rumowiska.

W miarę posuwania się na północ, powietrze oziębiało się. Czasem przenikliwe zimno trzymało wszystkich, oprócz służby, pod pokładem — czasem rozjaśniało się słońce wśród mrocznych chmur i było wtedy jak w późnej polskiej jesieni, na dwudziestym czwartym stopniu północnej szerokości.

Pewnego dnia, w trzeciej dekadzie lutego, stan barometru i obracanie się silnego wiatru zdawały się wskazywać na zbliżanie się tajfunu. Siedziałem późno w nocy w kabinie, pochylony nad książką o chińskiej cywilizacji. Byłem w innym świecie. Nademną, w przedziale radjo, pracowało dynamo. Dźwięczało dziwnemi tonami — długiemi zawodzeniami, przerywanemi stukotem Morse'go.

Radjotelegrafista rozmawiał zwykle o tej porze ze statkami, odległemi od nas o tysiące mil. Odbierał komunikaty meteorologiczne o formujących się w dalekich zakątkach oceanu wyżach. Tam znów cyklon posuwał się stumilowym chodem; w Kobe tajfun zatopił zgórą tysiąc statków, łodzi, motorówek, kutrów rybackich i zniszczył mola portowe.

Dziś, gdy porucznik wyszedł z kabiny radjowej, a za nim pobiegły smugi cichych świateł i połysk aparatów, zauważyłem w jego zachowaniu drobną nieuchwytną, jednak wyraźną zmianę.

Zaledwie otworzył drzwi, wiatr uderzył tak potężnie, że zabrakło mu tchu w piersiach. Równocześnie rozprysk fali chlusnął w jego twarz. Statek kołysał się, podnosił i opadał w głębinę, skotłowaną, syczącą, pełną groźnych cieni. Był to nagły, spadający jak lawina szkwał.

Porucznik przewinął się zręcznie wzdłuż poręczy burty do kabiny nawigacyjnej.

Nad mapami — oświetlonemi jaskrawo żarówkami w kloszach, skupiających całe światło nad stołem, tak że pokój pogrążony był w mroku — pochylał się właśnie komendant. Obok oficer wachtowy obliczał na arkuszu papieru pozycję statku.

— Coś nowego?

— Z Korei ciągnie w naszą stronę głęboki niż. Tajfun! — powiedział porucznik, kładąc na stole niebieski blankiet, wypełniony angielskim tekstem komunikatu.

Nad ranem zamilkł wiatr, morze wyrzeźbiło się w wielkie, martwe fale. Przylgnęła do nich oschłość, ospałość i nuda surowego poranka. Tykotał tylko Diesel. W wilgotne powietrze wsiąkał zapach ropy.

Osmalony, brudny i zmęczony, nasz praktykant — motorzysta wyszedł z hali maszyn. W rowach pod oczami, w bróździach twarzy, na obnażonym torsie i rękach perlił się pot, zmieszany z ropą, oliwą, smarami. Ciężka jest praca w ciasnej przestrzeni, rozgrzanej cylindrami i piekielnie gorącą rurą, odprowadzającą rozpalone, zużyte gazy.

Mimo, że wielki nawiewnik wtłaczał z zewnątrz masy świeżego powietrza, motorzysta jest po czterogodzinnej wachcie wyczerpany; wychodzi na pokład, napełnia płuca świeżością morza. Oczy jego, śledzące z uwagą pracę motoru, porwane monotonnym obrotem korbowodów, chłoną teraz chciwie niebieskość nieba; uszy chwytają z rozkoszą szum wiatru; myśli rozjaśniają się promiennemi obrazami.

Osmalony marynarz zatrzymał mnie pytaniem:

— Jak pan sądzi: czy mógłbym się ożenić w Japonji? Słyszałem o okresowych kontraktach małżeńskich, zawieranych przez załogi statków cudzoziemskich w portach japońskich? Podobno japonki mają być najlepszemi żonami. Co do mnie, chciałbym się ożenić naprawdę. Kupiłbym małą, słodką japoneczkę i przywiózłbym ją do Polski. Chodziłaby u mnie w miasteczku pod Lwowem w kimonie. Sam osiadłbym na lądzie i pracowałbym na nią... Otworzyłbym kino...

Oczy mego rozmówcy uśmiechały się naiwnie. Nie wiedziałem, czy żartował, czy też mówił poważnie. Zaskoczył mnie ten niespodziany wylew szczerości i sentymentalizmu, tak kontrastujący z zwykłą szorstkością i pozornym cynizmem marynarzy.

— Wie pan przecież, że na statku nie wolno przewozić kobiet. Musiałby pan dla swojej japonki kupić bilet okrętowy do Triestu i wątpię, czy dziewczyna, nie znając żadnego europejskiego języka, dałaby sobie radę po wylądowaniu, chyba, że towarzyszyłby jej pan w drodze. Podpisał pan jednak umowę z kapitanem do końca podróży.

— Słusznie, nie pomyślałem o tem.

— Mógłby pan, coprawda, poprosić kogo o opiekę nad nią, ale czy powierzyłby pan swój bezcenny i bezbronny skarb obcym ludziom? Pozatem, czy miałby pan na to pieniądze? Byłoby to w każdym razie bardzo kosztowne. Proszę się jednak nie martwić. Pocieszy się pan w maczijaj gejszami. Na jedno skinienie zwołają telefonicznie ile chcąc dziewcząt. Obędzie się nawet bez kontraktów.

Motorzysta uśmiechnął się. Czytał „Markizę Yorisakę" Farrère'a. Był pełen romantycznych myśli. Znał Lafcadio Hearn'a i miał o Japonji wyobrażenie, jak o raju pastelowych krajobrazów, naręczy kwiatów, gajów wiśniowych, wielkich bogów budyjskich i uprzejmych ludzi. Mniej natomiast wiedział o współczesnej Japonji, bombardującej Wosung pod Szanghajem, o wielkich marszach armji japońskiej w Mandżukuo, o imperjaliźmie politycznym i gospodarczym na Wschodzie.

Przerwaliśmy rozmowę. Marynarz poszedł na bak, aby się umyć i przebrać przed śniadaniem. Pogoda i cisza przez cały ten dzień miały w sobie coś złowróżbnego. Byliśmy już blisko brzegów Japonji. Motor pracował i statek przepychał się przez nabrzmiałe, ciężkie i bezwładne fale. Barometr zlatywał coraz niżej. Była jedna jeszcze nadzieja, że tajfun przejdzie bokiem.

Nad wieczorem rozpoczęły się pierwsze podmuchy. Z mrocznej przestrzeni w nieregularnych odstępach, wtargnęły pomiędzy maszty i reje, wstrząsając siecią olinowania, rozpiętą nad statkiem.

Zapadła noc zgrozy.

W nieprzeniknionej ciemności zapalały się tajemnicze światła. Statki rybackie na kursie? Powiększało to jeszcze niebezpieczeństwo: do niebezpieczeństwa morza dołączyły się możliwości zderzenia.

Wiatr ze wschodu, taki wiatr, który na lądzie łamie drzewa, wyrywa strzechy i obala konie, pędził fregatę do brzegu Japonji. Wiadomo było, że także prąd niósł statek w tym samym kierunku. Głębie w środku oceanu są bezpieczną kołyską dla małych kutrów i wielkich liner'ów, ale bliskość lądu przy takiej pogodzie jest groźna.

Od Japonji więc, do której dążyliśmy przez tyle miesięcy, musieliśmy teraz uciekać, radzi, że motor może jeszcze jako tako posuwać się pod prąd i nawałnicę wiatru.

Na pokładzie było tak ciemno,

że nie widziało się własnej wyciągniętej ręki. Fala przedzierała się nad poręczami, chlustając na rufę. Niższe śródokręcie znikało w strumieniach wody, z szumem i pianą przelewającej się od burty do burty.

Wachty wtopione w czerń nocy pełniły w skupieniu służbę morską do rana. Poraz pierwszy uderzyła mnie bohaterskość zawodu marynarza. Takie noce wyrównują rachunek za beztroską, leniwą żeglugę w strefie passatów.

Tajfun dotknął fregaty tylko brzegiem, główny tor przeszedł nad państwem wyspiarskiem. Dzięki temu zrana, gdy się rozwidniło, nad wzburzonem morzem wisiała już cisza. Przy wyjściu z maszyn spotkałem znów motorzystę. Tym razem chwiał się na nogach, oczy miał przygasłe. Zdawało się, że zapomniał o japonkach Farrère'zie i Hearn'ie.

— Płyniemy więc nareszcie do Japonji.

— Ach, tak! — odpowiedział obojętnie. Myśl ta nie budziła już w nim entuzjazmu. Spojrzał na wielkie fale i powlókł się na chwiejącym pokładzie na bak. Byłem również przygnębiony, wróciłem do messy. Na stole jakieś szczątki śniadania. Nikt jeszcze nie zszedł. Stiuard nie spał w nocy i teraz senny czekał przy bufecie.

Pod messą biegnie wał śruby i tutaj najdotkliwiej odczuwa się gwałtowne wstrząsy, gdyż śruba wynurza się z wody i pracuje bez oporu w powietrzu. Nagły, chrapliwy rechot i targnięcie wszystkiemi fibrami statku. Podczas tego śniadania zdawało się, że lada chwila rozluźnią się nity i stalowy kadłub rozleci się na oddzielne płyty, a pozostanie tylko nagi szkielet wręgów — kościotrup okrętu.

Nazajutrz zawinęliśmy do zatoki Kaneda — Kaneda Wan. Mała zatoczka na drodze do Yokohamy. Cicha, lustrzano gładka jak jezioro. W półkolu wznosiły się przysłowiowo „rozkoszne" wzgórza Nipponu — rozbłękitnione z nalotem fioletu i jeleni. Kontrtorpedowiec i dwa torpedowce wpływały równocześnie z nami. Wymieniono saluty.

W Kaneda fregata miała być pomalowana, odświeżona, wybielona na kolor białego ptaka morskiego.

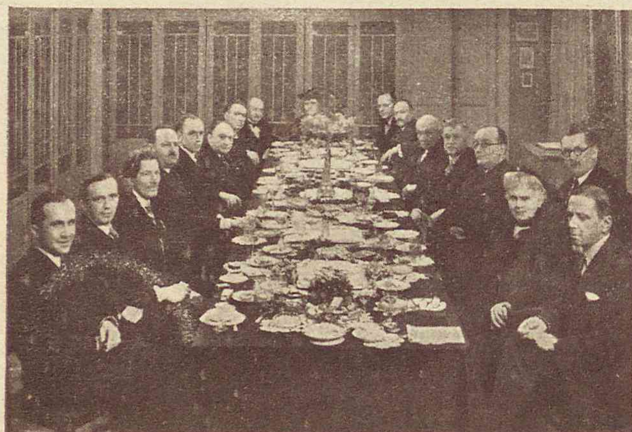
Niestety, władze morskie japońskie są bardzo nieufne: komendant bliskiego portu podejrzewał, że nieznany żaglowiec robi pomiary zatoki, mającej widocznie strategiczne znaczenie. Na punkcie wywiadu wojskowego japończycy są poprostu chorobliwie przewrażliwieni. Przysłano nam radjodepeszę. „I am sorry. Proszę opuścić zatokę. Dowódca fortecy. Nazwisko".

Krok służbistego i gorliwego pułkownika był dla nas zupełnie niezrozumiały. Oficjalna locja, wydawana przez brytyjską admiralicję, nie zawierała w spisie miejscowości zakazanych dla obcych statków, zatoki Kaneda. Ze strony polskiej nie było niedopatrzenia, czy nieznajomości przepisów miejscowych. Gdzie więc szukać wyjaśnienia osobliwego postępowania komendanta fortecy?

Trudno! Trzeba było przerwać rozpoczęte malowanie statku i podnieść kotwicę. Skoro nam przeszkadzają w wykonaniu aktu kurtuazji, fregata wejdzie do Yokohamy bez „make up'u". Trochę odrapana i przybrudzona, trochę zmizernowana po długim rejsie przez dwa oceany. Zresztą — jak piękna kobieta bez szminki i pudru — napewno zachwyci oczy wszystkich japończyków.

Wyszliśmy z zatoki w chwili, gdy słońce wytoczyło się nad wzgórza. Czerwona kula z rozchodzącemi się daleko krwawemi promieniami, tak właśnie, jak na banderze w Kraju Wschodzącego Słońca.

# PRZYZNANIE NAGRODY MŁODEMU MARYNIŚCIE, FRYDERYKOWI KULLESCHITZOWI PRZEZ Tow. LITERATÓW i DZIENNIKARZY



*Podczas koleżeńskiej skromnej herbatki w Tow. Literatów i Dziennikarzy wręczono laureatowi Fr. Kulleschitzowi nagrodę im. Jerzego Szareckiego. W uroczystości wzięli udział: fundator nagrody płk. Szarecki, zarząd Tow. Literatów i Dziennik. in corpore, niektórzy członkowie sekcji Marynistów oraz członkowie komisji rewizyjnej Towarzystwa.*



*Pośrodku grupy laureat Fr. Kulleschitz, panie Lucyna Kotarbińska, Romana Dalborowa, nieco dalej mec. Śliwowski, dr. Szarecki, Jan Adolf Hertz, Z. Kleszczyński, W. Grubiński, L. Chrzanowski, A. Bogusławski, M. Rulikowski, St. Jarkowski, Janusz Stępowski (laureat zeszłoroczny), Zadrożny, Józef Hłasko, Wł. Zyglarski, de Verbuo Łaszczyński.*

# KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

**Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.**

Na ziemi kosze z odartą tapetą i kubły brudnej wody.

Właśnie porządkuje pracownię pan Kowalski, prawa ręka panny Tarasowiczówny. Pan Lipowski chce poznać tego pana i uścisnąć mu rękę. Że brudna? Nie szkodzi. On jest bardzo zadowolony z dekoracji i przyszedł podziękować za nią.

Reżyser objaśnia, że pan Kowalski ma za sobą lata pracy. (Przy Drabiku pracował). Pan Lipowski chętnie pogadałby z nim, ale w tej chwili nie ma czasu, więc tylko francuskim papierosem poczęstuje pana Kowalskiego i zapyta się o pannę Tarasowiczównę. — Okazuje się, że Dekoratorka nic nie jadła od rana i jest w bufecie. Tak — ona umie pracować! Czasem nawet szesnaście godzin na dobę. Reżyser objaśnia, że to zagranicą ją tak pracować nauczyli. Zagranicą? Gdzie?

W Wiedniu. W Paryżu. W Monachjum.

*

Profesor Link z aktorem Tyliczem (tym, co gra biskupa krakowskiego Jerzego Radziwiłła) prowadzą Martę do bufetu. Trzeba się tą panną opiekować, jak dużem, ładnem dzieckiem, które o sobie samo nie pomyśli i z głodu gotowe zemdleć. Tak, gotowe przewrócić się na schodach i narobić wszystkim kłopotu, bo o szklance herbaty i jednej bułce przepracowała calutki dzień! A co robiło, zamiast jeść, przez ostatnie półgodziny? Naturalnie przebierało się w garderobie Mary Kalinowicz, myło się i malowało!... Dlaczego to zrobiło? Oczywiście dlatego, aby im wszystkim głowy zawrócić do reszty. Ale oni obaj się zemszczą... Każą jej zjeść dwie bułeczki, jedną z szynką i jedną z łososiem i każą jej wypić kieliszek węgierskiej śliwowicy, a potem dopiero pozwolą jej na dalsze ich maltretowanie.

Marta je. Marta śmieje się. Cóż ma robić?

Ktoś tam jeszcze wchodzi do bufetu, zdaje się reżyser, warto się obrócić (przecież ten człowiek przed chwilą mówił „z nim" o jej dekoracjach. Więc Marta odwraca się)...

Oh... opanuj się, dziewczyno, na litość Boską, opanuj się, nie wypuść z lewej ręki bułki z łososiem, a z prawej kieliszka z niedopitą śliwowicą. Uśmiechnij się, bo tylko w żart możesz obrócić swoją groteskową pozę.

Więc Marta uśmiecha się, stawia z krystalicznym brzękiem kieliszek na marmurowym blacie bufetu i podaje rękę sławnemu Lipowskiemu, który raczył jej szukać po całym gmachu teatralnym, aby jej wyrazić swoją głęboką wdzięczność etc. etc.

Czuje przez sekundę ciepło „jego" ust i zbliska widzi jego głowę, pochyloną w ukłonie.

W ułamku sekundy zauważone oczy. Oczy w oprawie zmienionej, porysowanej rozbieżnością wgłębień, co zmarszczkami rozchodzą się od kącików oczu ku skroniom. Trzepot ciemnych rzęs i puszystych brwi...

Oczy...

Ona nie ma odwagi w te oczy patrzeć. Więc opuszcza powieki do połowy, aby momentalnie z powrotem je podnieść, czerwieniejąc ze zmieszania, aż po karby pięknie zaondulowanych włosów.

Oh Marto, co robisz! Tym rumieńcem poprostu kompromitujesz się. Wyglądasz na panienkę z ubiegłego stulecia!

Musisz coś powiedzieć! Więc mówisz, że budownictwo Kazimierza nad Wisłą stało kiedyś na pierwszem miejscu w Polsce. I mówisz jeszcze coś tam niezgrabnie, blado i nieciekawie, nie tak, jakbyś powiedzieć mogła.

Teraz, profesor Link pozwala sobie przedstawić się wielkiemu dramaturgowi i nadmienić ze swej fachowej strony, że kierownictwo teatru im. Wyspiańskiego pod względem dekoracyjnym odnowiło najlepsze tradycje z czasów przedkryzysowych!

Również aktor Tylicz ośmiela się zaprezentować swoją skromną osobę i nadmienić, że dekoracje przyczynią się napewno wybitnie do podniesienia wartości artystycznej wspaniałego dzieła sztuki. Reżyser tymczasem wszystkim przypomina, że przecież jest już za pięć minut siódma i że wartoby zacząć, by potem do 4-ej rano próby nie przeciągać i nie męczyć wszystkich do ostateczności.

Lipowski więc jeszcze raz się kłania i jeszcze raz coś wspomina o „coup de force" techniki malarskiej. Pozatem, razem z panną Tarasowiczówną chce iść na próbę.

Nie. Ona narazie nie pójdzie na widownię. Jest głodna i profesor Link chce ją ocalić od głodowej śmierci.

Lipowski uśmiecha się. Przygląda się zaróżowionej twarzy (bardzo dawno już nie widział rumieniącej się kobiety) i z pewną niechęcią patrzy na profesora Linka, który niepotrzebnie tu się kręci, robi jakieś „chi-chi" i wogóle przeszkadza.

*

Premjera sztuki Lipowskiego.

O Lipowskim mówi dzisiaj każdy widz teatralny!

Lipowskiego, siedzącego w loży przy scenie, lornetują wszystkie panie!

Lipowskiemu publiczność urządza owację po każdym akcie!

Przed Lipowskim skłaniają się wyorderowane postacie we frakach i wyorderowane postacie w mundurach!

Lipowski jest na wszystkich ustach!

Lipowski! Sławny Lipowski!

Już wszyscy mężczyźni w całym teatrze zauważyli, jakiego „on" kroju nosi kamizelkę, jakie ma spinki przy frakowej koszuli i jakiego gatunku skarpetki!

Już wszystkie kobiety w całym teatrze dobrze wiedzą, jakiego „on" koloru ma oczy, jakie spojrzenia i uśmiechy, jaką budowę i jakiego kształtu paznokcie!

Jeden jest tylko człowiek w teatrze, który dzisiaj na Lipowskiego prawie że uwagi nie zwraca i talentem Lipowskiego się nie entuzjazmuje. Tym człowiekiem jest ojciec Marty.

Sztuka? Zapewne, dobra... hm... owszem... Gra aktorów? Naturalnie też. Ale przedewszystkiem piękne są dekoracje!!! Dekoracje Marty! Ojciec czegoś podobnego jeszcze w swojem życiu nie widział! Stanowczo nie widział! Drabik? Drabika dekoracje nie miały tej bujności! Tej finezji! A Frycz, albo Daszewski? Oczywiście, niech się schowają przy jego córce!

Głośno nikomu ojciec tego nie powie, ale tak pocichu w szatni, albo na schodach... Ten profesor Link przyzna mu rację! Jędrek Chłopski w antrakcie poklepie go mocno po ramieniu i powinszuje mu córki, która lepiej te dekoracje macha od Rubowicza. I publiczność mu przywtórzy, oklaskując „Dom pod Krzysztofem" przy otwartej kurtynie! I krytycy mu jutro w gazetach napiszą o tryumfie artystycznym Marteczki. Co za radość!

Ojciec promienieje i zaciera ręce.

Trochę śmieszny jest z tem wszystkiem, aż żona musi go pocichu hamować w tych hymnach pochwalnych (— „Tadziu, nie wypada tak się zachwycać własną córką!").

Tak. Ojciec się z Marty tryumfu cieszy!

A Marta? Czy ona też tak, jak ojciec, traci głowę z radości? Nie. Ona wcale nie cieszy się ze swojego tryumfu artystycznego. On, Jurek, ją wczoraj pochwalił — to wystarczy, a że tam teraz tłumy biją brawa — to jest bez znaczenia — Naturalnie w głowie się jej przewróciło, bo przecież rok temu, po premjerowem rozgoryczeniu, doznanem w F.D.V, chyba oszalałaby z radości, gdyby mogła zobaczyć rezultaty swojej całorocznej intensywnej i wytrwałej pracy! Ale dzisiaj? Dzisiaj, jej nic nie może zainteresować po za... lożą, w której siedzi... On!

Patrząc z ukosa, z pod rzęs, można widzieć dobrze, co się tam dzieje, w tej loży naprzeciwko. Naprzykład, w pierwszym antrakcie można zauważyć, że Jurek rozmawia dobrą chwilę, z piękną żoną dyrektora teatru! A w drugim antrakcie przygląda się z zainteresowaniem Lu, która siedzi przed Martą w loży państwa Tarasowiczów.

Marta poraz pierwszy czuje w sobie uczucie, zbliżone do uczucia zazdrości i poraz pierwszy oddawna przygląda się z uwagą Lu. Tej dziewczynie, która w dzieciństwie na nią zawsze skarżyła i która w dzieciństwie zawsze się wyśmiewała z jej dobrych stopni i czystych fartuszków. Jakżeż więc ta bliska kuzynka i obca osoba wygląda, że aż ściąga na siebie uwagę Jurka, tego zblazowanego, podobno lekceważącego kobiety, cynika? — Jak wygląda? — Jest niezwykła. Jej wygolone brwi krzyczą, jej rumieńce wyzywają, jej włosy są umalowane na „skrzydła kruka". Wycięcie jej głębokiego dekoltu upudrowane jest na kolor „mulâtre". Lu stanowczo ma grube usta i grube rysy i bardzo połyskliwe, trochę skośne oczy, więc w tej maskaradzie murzyńskiej jest jej do twarzy.

Tem gorzej. Tem gorzej dla ciebie Marto, którą wgłębi loży zasłania tłum znajomych, krytyków i malarzy.

Oh Marto! Wywalczyć sobie umiałaś byt i stanowisko w świecie artystycznym, będziesz więc chyba umiała wywalczyć sobie i... szczęście? W antrakcie, tak mimochodem przystaniesz obok wejścia do loży Lipowskiego, rozmawiając z Chłopskim, Szenkerem, ojcem i z Dr. Widrakiewiczem. (Niech widzi, że jesteś otoczona, że masz powodzenie. Niech poczuje coś nakształt zazdrości, tak jak ty to czujesz). Twoja najlepsza suknia musi przecież dobrze odbijać na czarnem tle męskich ubrań i zrobić wrażenie. Suknia ta na ramionach połyskuje srebrem, piersi opływa jasnym błękitem, przechodzącym stopniowo w dół w coraz intensywniejszy szafir, by wreszcie u stóp, obutych w srebrne pantofelki, rozlać się w falach granatu. Na suknię tę zwrócił nawet uwagę Chłopski, suknią tą zachwyca się Szenker i sukni tej zazdrości nawet Lu! (Ta Lu, która ranki spędza nad żurnalami, południa u krawcowych, a wieczory na rewjach mód). Więc tę suknię sprawioną na intencję Jureczka musi Jureczek zobaczyć w całej okazałości i pięknie. Oh tak, Marto, przyznaj się do tego, że dzisiaj stanowczo nie chcesz być dekoratorką, z której dekoracji sławny Lipowski jest tak bardzo zadowolony — tylko chcesz być kobietą, którą ten Lipowski by się zachwycił.

Otwierają się drzwi loży. Już idzie. Naturalnie, musi tędy przechodzić. Już patrzy, już widzi, z trudem poznaje, obrzuca spojrzeniem od stóp do głów, kłania się i... podchodzi.

Jego oczy w trakcie rozmowy nie odrywają się ani na chwilę od twojej twarzy i twoich ramion. W spojrzeniu tem niema nic z cynizmu. Co broni cię, przed jego lekceważeniem? Czy wspomnienia? Czy twoje nazwisko? Czy siwa głowa ojca nachylona nad córką?

Jest ci dobrze na świecie. Oh jak dobrze! Rozbłyskują ci oczy, rozchylają się twoje usta, nabierają wdzięku twoje ruchy, nasyca się tryumfującem brzmieniem twój śmiech...

Tak wygląda rozkochana dziewczyna.

Naturalnie dzwonek przerywa całe szczęście. (Jakże jest nieznośny, przenikliwy i długotrwały!). Naturalnie już za chwilę ludzie się do was wtrącą i rozdzielą was! (Oh Marto, stajesz się patetyczną!).

Mama za minutę powie ci, że suknia twoja będzie niepraktyczna i z całą pewnością zczernieje, bo lama ma to do siebie, że traci połysk... Może mama ma rację? Nawet napewno ma rację, ale co to ciebie może obchodzić? Co to cię może obchodzić wobec tego, że suknia ta przyciągnęła „Jego" oczy i poprostu... skokietowała go?! (D. c. n.).

# KRONIKA LITERACKA

## The Abbey Theatre

W wielu krajach dąży się obecnie do reformy teatru, szuka się nowych dróg, dokonywa dziwnych eksperymentów, otwiera specjalne studja doświadczalne. Wszystko w tym celu, aby wlać w teatr nowe życie. Teatr musi być *żywy*. Aby teatr był żywy, musi on mieć kontakt z publicznością, musi wyrażać istotne dla swego okresu momenty życia danego społeczeństwa. U nas próbuje się ostatnio ożywić teatr zapomocą odświeżania sztuk należących do klasycznego repertuaru przez nowe sposoby czy sztuczki reżyserskie i inscenizacyjne. W Anglji w roku ubiegłym najważniejszem wydarzeniem w dziedzinie teatru była inwazja poetów: T. S. Eliot'a (*„Morderstwo w katedrze"*) i W. H. Anden'a (*„The Dog Beneath the Skin"*). „Bezwątpienia teatr potrzebował poetów—stwierdza Michael Sayers, — i to w rozpaczliwy sposób". Ale przyznaje zarazem, że teatr angielski potrzebuje reformy wielostronnej.

W chwili, kiedy kwestja żywego teatru jest dość paląca, Norah Hoult, znana wilandzka autorka, kreśli w wiosennym numerze *Life and Letters To-day* historję jednego teatru, który miał rzeczywisty związek z życiem i był tego życia wyrazem. Chodzi tu o *„The Abbey Theatre"*, Narodowy Teatr Irlandzki, który można nazwać ośrodkiem, ogniskiem ruchu odrodzenia irlandzkiego, czyli tak zwanego *The Irish Revival.* Etapy rozwoju tego teatru były markowane przez burze. Jego bezpośredni poprzednik, Irlandzki Teatr Literacki, założony przez W. B. Yaats'a, Edwarda Martyn'a, George'a Moore'a i Lady Gregory, wystawił na otwarcie „Hrabiankę Kasię" Yeats'a w maju 1899 r. Treść sztuki, w której bohaterka ofiarowuje duszę demonom, aby uratować swój lud od klęski głodowej, tak zaniepokoiła pojęcia moralne publiczności, że, jak powiada Willy Fay w swej świeżo wydanej książce, od tej pory każda sztuka, wystawiona w Dublinie, musiała przejść przez ciężką próbę: czy nie jest obrazą wiary i czy nie oczernia ludu irlandzkiego.

Irlandzki Teatr Literacki trwał trzy lata i nie miał zbyt wielkiego powodzenia, bo był — zbyt literacki. Powstało wzamian Towarzystwo Teatru Narodowego, którego przewodniczącym został Yeats; z członków wymienić należy przedewszystkiem braci Fay. Pierwsze przedstawienia odbywały się w warunkach nader skromnych, poprostu nędznych. Ale w r. 1904 weszły do teatru 2 osoby, które mocno zaważyły na jego historji. Miss Horniman, Angielka, która przez swą pomoc materjalną stworzyła właściwy *Abbey Theatre*, dostarczając mu odpowiedniego pomieszczenia, i John Millington Synge, którego genjusz tchnął na scenę nowy duch, wprowadzając prawdziwą poezję i prawdziwy dramat, a jednocześnie rzucając ostre, bezwzględne światło na życie irlandzkie. Naogół lata 1905 — 1907 były pomyślne. Przyjacielski i beztroski nastrój całej kampanji każe nawet okres ten nazywać złotym wiekiem *The Abbey.* Złotym, mimo, że sztuki Synge'a nie spotkały się niestety z przychylnem przyjęciem. A punkt kulminacyjny wrogiego nastawienia publiczności przyszedł w roku 1907. I to nietylko publiczność zbuntowała się przeciwko Synge'owi. Również i pewni, jeśli nie specjalnie utalentowani, to przynajmniej popularni autorzy zareagowali ostro. William Boyle np. wycofał z *The Abbey* swe sztuki.

Tymczasem szarpały także *The Abbey* różne niesnaski wewnętrzne. Po pierwszym rozłamie, który nastąpił w momencie przekształcenia trupy amatorskiej na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, (której głównymi udziałowcami byli: Lady Gregory, W. B. Yeats i J. M. Synge), przyszedł drugi, boleśniejszy przez wystąpienie braci Fay, którzy byli temu teatrowi prawdziwie oddani.

Poraz pierwszy teatr odegrał rolę patrjotyczno-nacjonalistyczną w r. 1909 — dzięki wystawieniu niedozwolonej w Anglji przez cenzurę, a bardzo pięknej sztuki *„Blanco Posnet"* Shaw'a.

Ale w r. 1910 spadł na *The Abbey* dotkliwy cios: oto Miss Horniman cofnęła swą pomoc finansową. Wtedy, zwyczajem Irlandczyków w tarapatach finansowych zwrócono się do Ameryki. Teatr wyruszył w r. 1911 na pamiętne tournée. Mimo burzliwych zajść na niektórych sztukach, objazd okazał się znacznym sukcesem pieniężnym. Trupa powróciła z pełnemi kieszeniami i zwiększonym repertuarem. Ale właśnie, kiedy repertuar ten miał zostać urozmaicony i wyzwolić się z chłopskiej tradycji— wybuchła wojna. Teatr utrzymał się, mimo, że wielu członków zostało straconych, a nawet przez większość czasu w nieszczęśliwych latach 1916 — 1923 — był otwarty, oczywiście nawróciwszy do farsy i melodramatu.

W r. 1923 teatr *The Abbey* mógł oznajmić odkrycie nowego autora o dużem znaczeniu. Był nim Sean O'Casey. Niestety, początkowo dramaty jego były gorąco przyjmowane jako farsy, aż wreszcie, kiedy spojrzano na nie poważnie — znów wybuchła burza. W ostatnich latach głos krytyki zarzuca głównie *The Abbey*, że zbyt często wznawia stare sztuki, a zbyt mało wystawia nowych. Przyczyną tego w dużej mierze jest brak rzeczywiście interesujących nowych utworów i konkurencja istniejącego od roku 1928 rywala — teatru zwanego *„The Gate"* o międzynarodowym repertuarze. Na zmniejszenie popularności musiały również wpłynąć długie wypady do Ameryki, jak np. ośmiomiesięczna nieobecność The Abbey w roku 1932. To też odkąd Irlandzki Times zaczął drukować korespondencję krytykującą *The Abbey*, konieczność reformy ukazała się w całej swej oczywistości. Zatem Mr. Yeats zdecydował się na zmianę polityki. Nareszcie przeprowadza się to, do czego dążyli bracia Fay w r. 1907 i St. John Ervine w r. 1915. *The Abbey* ma wystawiać obecnie nietylko sztuki irlandzkie, traktujące zazwyczaj o życiu irlandzkich wieśniaków—repertuar ma obejmować także i wszystkie ważniejsze sztuki zagraniczne. Mimo trudności specjalnych, jakie wystawianie tych sztuk może napotkać na gruncie irlandzkim, należy się spodziewać, że *The Abbey* będzie żył dalej, a nie przejdzie już do lamusa przeszłości.

*L. Buyno.*

---



*Robert Boelke, dyr. Teatru Polskiego w Poznaniu.*

## TEATRY POZNANIA

*„Trzy asy i jedna dama", komedja w 3-ch aktach Denysa Amiela, przekład Julji Rylskiej. Inscenizacja Roman Zawistowski. Dekoracje Zygmunt Szpingier.*

Sztuka nawskroś nowoczesna — akcja rozgrywa się w willi emerytowanej sławnej tancerki Lois Erland, która zażywa spokoju wespół z 3-ma synami „asami": jeden giełdy, drugi sportu, trzeci muzyki, każdy z innego ojca. Ten zasłużony spokój duchowy, zakłóca kobieta-wamp swoim przybyciem i wnosi atmosferę niedwuznacznej „Colette" przypadkowa znajoma Lois Erland, która ma uwodzić... i być uwodzona?

Artyści stanęli na wysokości zadania z p. Katarzyną Żbikowską na czele, która bardzo naturalnie i z wdziękiem kreowała rolę wyrozumiałej i nowoczesnej matki-przyjaciółki. „Colette" Ludwiżanki to interpretacja prawdziwa, lecz daleko od zakrojonej roli wampira. P. Kierczyński niezupełnie zdecydowanie zagrał role poety-muzyka. P. P. Pluciński i Hańcza dali dużo temperamentu. Dekoracje wnętrz bajecznie kolorowe, a jednocześnie bogate, o rozmachu czarodziejskim, za co zasłużenie zostały nagrodzone rzęsistemi oklaskami od pierwszej sceny.



*Katarzyna Żbikowska, czołowa aktorka Teatru Polskiego w Poznaniu.*

## Nowa Premjera

I znów premjera w Teatrze Polskim. Sprężysta Dyrekcja tego teatru w osobach pp. Roberta Boelke i Maksymiljana Piotrowskiego wystawiła komedję w 3-ch aktach Waltera Elisa „Pierwszy występ Jenny" świetnie wyreżyserowaną i doskonale graną przez cały zespół, z Katarzyną Żbikowską na czele, Barbarą Ludwiżanką, Stanisławem Jaworskim, Władysławem Hańczą i Tadeuszem Kostrzeńskim.

Recenzję zamieścimy w następnym numerze.



*Maksymiljan Piotrowski, dyr. Teatru Polskiego w Poznaniu.*

## XV Jubileuszowe Targi Poznańskie

Nawiązując do sprawozdania w poprzednim numerze zaznaczyć należy, że tegoroczne Targi poszczycić się mogły mnóstwem nowości technicznych. Jeśli zważymy te miljony przedmiotów, z których żaden nie był pokazany na Targach roku ubiegłego, to zdamy sobie sprawę, iż Targi istotnie są repertorjum osiągnięć myśli ludzkiej, której celem jest rozszerzenie horyzontów w życiu szarego człowieka. Wzrost działu wynalazków na Targach znamionuje, że myśl przewodnia; jaka kieruje organizacją tego działu jest słuszna. Pierwsza próba przed dwoma laty zgromadziła kilkanaście wynalazków. W roku ubiegłym było już kilkadziesiąt, a w tym roku sto kilkadziesiąt.

Dlatego też wszelkie objawy nowej myśli; nowych form wytwarzania, nowych pomysłów, to promienie tego wschodu epoki, który łzy otrze i głodnych nakarmi. Targi to zbiór tego wszystkiego, co rok temu jeszcze nie istniało. Targi to zbiorowy wysiłek wszystkich!

Na tegorocznych Targach Poznańskich 2.000 wystawców pokazało kilka miljonów przedmiotów.

## Soda amoniakalna potocznie nazwane bielidło w gospodarstwie domowem

Woda, soda i mydło są niezbędne dla utrzymania czystości w gospodarstwie domowem. Często spotkać można w sprzedaży sodę amoniakalną, podrobioną przez mieszanie jej siarczanem sodowym (solą glauberską, skażoną solą kuchenną, wapnem i t. p.); domieszki te są zupełnie bezwartościowe, a niektóre nawet szkodliwe, gdyż powodują przy praniu żółknięcie i niszczenie bielizny.

Dla ochrony odbiorców Zakłady Solvay w Polsce wprowadziły do sprzedaży sodę amoniakalną, wolną od tych właśnie szkodliwych domieszek, jak poinformowano nas w stoisku Zakładów Solvay w Polsce na Targach Poznańskich.

Tam też rozdawano próbki sody amoniakalnej i sody krystalicznej zewnętrzną szatą, przemawiające do wyobraźni laika w myśl zasady: „jak cię widzą, tak cię piszą".

Soda amoniakalna czyli bielidło, produkowane przez Zakłady Solvay w Polsce odpowiada normom Polskiego Komitetu Normalizacyjnego i nie zawiera żadnych szkodliwych substancyj, a przedewszystkiem chlorku bielącego, natomiast jest to czysta 98% soda amoniakalna.

Wobec czego nabywanie bielidła w oryginalnem opakowaniu torebkowem Zakładów Solvay daje gwarancję pochodzenia i jakości sody oraz zabezpiecza odbiorców przed stratami.

## „STOMIL" na Targach Poznańskich

Na tegorocznych Targach firma „STOMIL", jedyna w Polsce fabryka opon samochodowych, demonstrowała na stoisku w pawilonie nr. 1 szeroką skalę swojej produkcji. Obok opon ciężarowych i autobusowych, od najmniejszych do największych wymiarów, widzieliśmy opony do wozów turystycznych względnie osobowych obok motocyklowych i samolotowych.

Szczególne zainteresowanie budziły opony typu superbalonowego, czyli opony o niskiem ciśnieniu, umożliwiające nawet po najgorszych drogach bezpieczną i wygodną jazdę. Opony te wyróżniają się nadzwyczajną szerokością profilu przy małej średnicy obręczy, a przytem posiadają miły dla

oka wygląd i celowo skonstruowany protektor, decydujący o elastyczności pracy. Na ten rodzaj opon zwracamy uwagę wszystkich zainteresowanych automobilistów, którzy kupując nowy wóz, powinni we własnym interesie dążyć do wyposażenia go w opony typu superbalonowego.

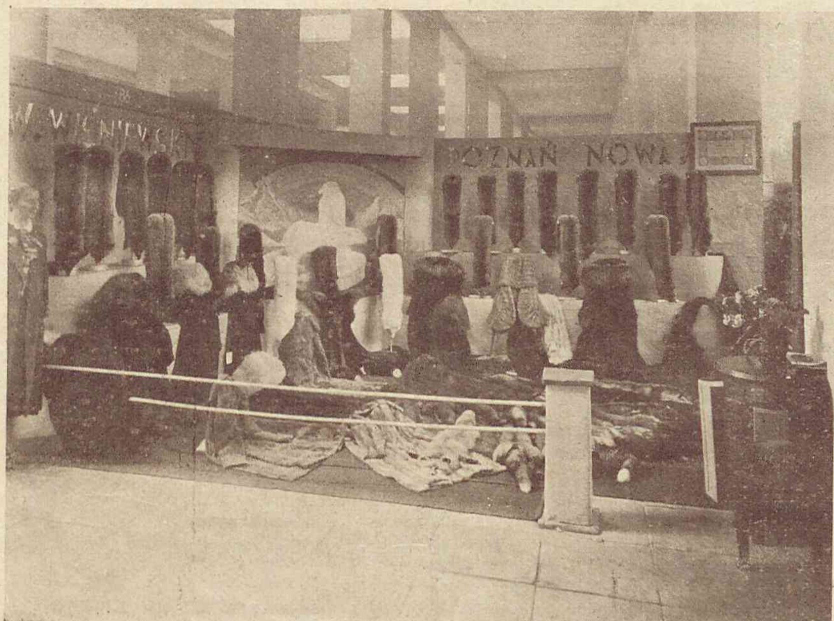
Nowością w dziedzinie budowy opon samochodowych była opona o t. zw. protektorze lamelowym. Opona ta posiada protektor nacinany w kształcie zygzakowatych lamelek, umieszczonych po obu stronach protektora prostopadle do kierunku jazdy. Lamelki te pozwalają uzyskać bardzo dużą przyczepność do jezdni o twardych i gładkich nawierzchniach, zwłaszcza w czasie wilgotnego stanu tejże. Opona ta jest specjalnie cenna dla naszych wyboistych i nierównych dróg, zwłaszcza przy jeździe z ciśnieniem poniżej przepisowego, co niestety jeszcze bardzo często się zdarza. Pozatem nadaje lamelowy układ protektora większą giętkość powierzchni bieżnej opony i ułatwia pracę tejże dzięki bardzo korzystnemu rozkładowi sił powstających w podkładzie i osnowie przy uderzeniach o nierówności jezdni.

Niemniejsze zainteresowanie budziły nowe opony terenowe dla lekkich samochodów i motocykli. Opony te posiadają specjalny układ protektora o głębokim deseniu rowków, co daje bardzo korzystne wyniki na śniegu, błocie, glinie, piasku i t. d.

Prócz tego wystawiała firma „STOMIL" w Grupie Fabryk Rowerów plastycznie ujętą mapę Afryki z trasą podróżnika K. Nowaka, którą tenże przebył na oponach STOMIL poprzez piaski, puszcze, dżungle i góry afrykańskie. Pokazano tam całą gamę opon rowerowych w różnych odmianach i kolorach.

Stoisko S. A. „STOMIL" było widocznym dowodem żywotności tej około motoryzacji zasłużonej firmy. Nie ulega bowiem kwestji, że na odcinku oponowym jesteśmy dziś już całkowicie uniezależnieni od zagranicy.





*Stoisko F-my Wacław Wiśniewski.*

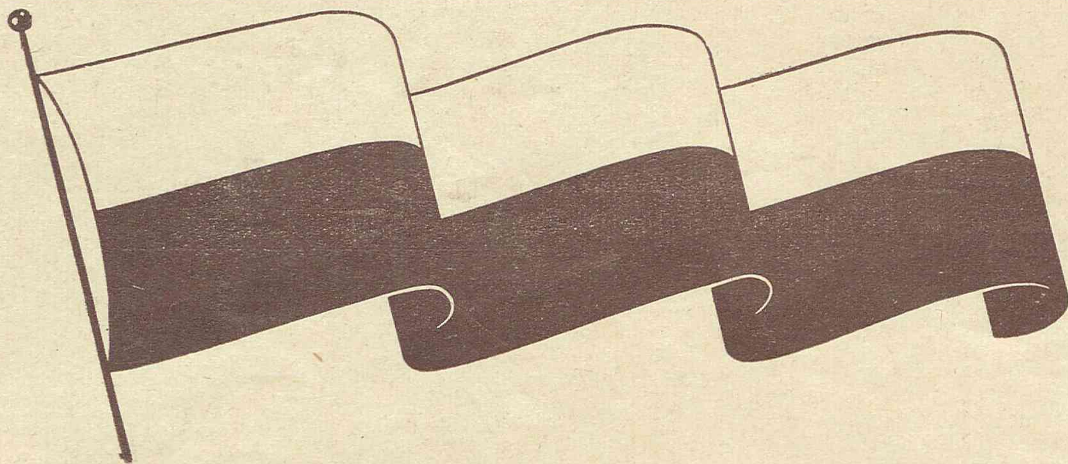
## Futra na Targach Poznańskich

W jednym z pawilonów, bogato obesłanym futrami wyróżniało się stoisko F-my Wacław Wiśniewski Poznań, gdzie podziwiano bajeczne okazy lisów srebrnych, niebieskich, białych i krzyżaków kanadyjskich (ostatni krzyk mody) oraz przepiękne płaszcze breitszwancowe w różnych odcieniach.

Bogactwo futer, jak również wykwintne wykonanie świadczą, że F-ma Wacław Wiśniewski przoduje w Poznaniu, trzymając rękę na pulsie nowoczesnego rynku futer.

Nietylko na Targach, lecz we wszystkich teatrach oraz na rewjach mody wspaniałe eksponaty futer demonstrują pierwszorzędne artystki oczywista z F-my Wacław Wiśniewski — Poznań, ul. Nowa 7/8 Bazar.

Co najważniejsze, że ceny są poprostu rewelacyjne.



# Dzieło polskich rąk!

**S**amochody POLSKI FIAT budowane są w Państwowych Zakładach Inżynierji w Warszawie na podstawie licencji fabryki samochodów FIAT w Turynie, założonej w 1899 r. i będącej jedną z najstarszych i najpoważniejszych wytwórni samochodowych świata.

**W**ytwórnia samochodów POLSKI FIAT, znajdująca się w Warszawie, przy ul. Terespolskiej 34—36, jest wyposażona we wszelkie najbardziej nowoczesne maszyny i narzędzia dla seryjnej produkcji samochodów. Surowce i półfabrykaty dla budowy samochodów POLSKI FIAT pochodzą z polskich Hut i Odlewni, osprzęt i akcesorja z wytwórni krajowych, które dzięki fabrykacji samochodów w Polsce, rozwinęły i udoskonaliły nowe działy produkcji i dają tem samem zatrudnienie licznym zastępom pracowników.

**K**to kupuje samochód POLSKI FIAT, nietylko nabywa za wydane pieniądze pełną wartość, gdyż ceny tych samochodów, doskonale przystosowanych technicznie do warunków miejscowych odpowiadają, przeciętnym cenom rynkowym w Europie — lecz przyczynia się również do rozbudowy własnego przemysłu samochodowego, ktorego istnienie i rozkwit jest oznaką kultury i dobrobytu społeczeństwa.

**W**ytwórnia położona w centrum Polski zapewnia sprawną i stałą obsługę oraz dostawę tanich części zamiennych.

# POLSKI FIAT

# PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

## Dlaczego Niemcy żądają swych dawnych terenów kolonjalnych

*KOELNISCHE ZEITUNG, Kolonja:*

Ze strony angielskiej suggerowano, że Niemcy nie zdołają uzasadnić przesłankami gospodarczemi swych żądań kolonjalnych. Uważano, że Rzesza obejdzie się bez terenów ekspansji nawet ze względów demograficznych, jako że w okresie, gdy posiadała kolonje, umieszczała w nich jedynie nikły odsetek ludności. Co zaś dotyczy surowców — dorzuca się w Londynie — Niemcy mogą zupełnie dobrze kupować je po tej samej cenie, co i Anglicy.

Na pierwszy zarzut wystarczy odpowiedź, że w momencie posiadania kolonij były one w stanie jeszcze niezorganizowanym, a początek ich rozwoju nie pozwalał na kolonizację „całą parą".

Na drugi argument odpowiemy poprostu, że każdy Anglik zdaje sobie sprawę z różnicy czynienia zakupów we własnych kolonjach i płacenia za nie własną walutą a koniecznością nabywania surowców kosztem dewiz zagranicznych. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że bogactwo Anglji pochodzi w większej części z jej potęgi kolonjalnej.

I nakoniec, *to jest nasza sprawa — i to nikogo nie obchodzi — dlaczego żądamy zwrotu naszych dawnych kolonij.*

## Portugalja nie odda żadnej ze swych kolonij

*O SECULO, Lizbona:*

W Izbie Gmin min. Neville Chamberlain uroczyście zapewnił, że rząd brytyjski nie może przyjąć do wiadomości żadnej suggestji czy propozycji, tyczącej oddania jakiejkolwiek kolonji angielskiej ani żadnego terytorjum mandatowego. Jest to deklaracja ogromnej wagi. Daje nam ona znakomitą okazję do wypowiedzenia, że żadne z państw posiadających kolonje, czy też kraje mandatowe nie zechce zadowolić ambicyj ekspansji tych, którzy pragną powiększyć swe terytorja.

Angielski punkt widzenia będzie i powinien być uznany przez wszystkie mocarstwa kolonjalne. Deklaracja angielskiego ministra przedstawia problem kolonjalny, tak ważny i skomplikowany, w nowem i nieprzewidzianem oświetleniu. Prędzej czy później zagadnienie to winno być wyjaśnione. W wypadku przeciwnym kraje, posiadające niezaprzeczone prawa historyczne do swych kolonij, staną przed żądaniami, które nie przyczynią się bynajmniej do utrwalenia pokoju europejskiego.

## Afryka Wschodnia jest niemiecka

*DEUTSCHE AFRIKA POST, Johannesburg:*

Afryka wschodnia *) jest niemiecka. Nie może ona być „zwrócona" Niemcom z tej prostej przyczyny, że nigdy nie należała do Unji południowo - afrykańskiej. Jest to kraj mandatowy. Mandat ten został ofiarowany koronie brytyjskiej, która zamieniła go na Unję, ale my uznajemy tę kolonję jako posiadłość niemiecką. Jesteśmy przekonani — a życzymy sobie z całego serca — że Afryka wschodnia zostanie w najbliższej przyszłości odebrana przez niemiecką ojczyznę, bez konieczności nawet pytania o zgodę Unji południowo-afrykańskiej, mandatarjuszki terytorjum, które do niej nigdy nie należało i nigdy należeć nie będzie.

## Groźba japońska

*DAILY EXPRESS, Londyn:*

Odwróćcie oczy od Abisynji! Tam już wszystko skończone. Można opuścić kurtynę.

Nie zajmujmy się Hitlerem, przynajmniej tymczasem. Nie ma on jeszcze dosyć armat, chociaż Krupp pracuje na trzy zmiany.

Baczmy na Japonję!

Japonja jest w sytuacji bardzo obdłużonego człowieka, który za wszelką cenę musi znaleść pieniądze. Japonja musi zdobyć rynki zbytu i obszary ekspansji lub zginąć.

Ludność Japonji wynosi 64 miljony i wzrasta rok rocznie o 300.000 mieszkańców. Nawet katastrofalne trzęsienia ziemi, które od czasu do czasu ją niszczą (1923 rok — 99.000 ofiar), nie zdołają powstrzymać tego gwałtownego przyrostu naturalnego.

Wyspy Nipponu mają najgęstsze zaludnienie z całego globu. Na mili kwadratowej (2,6 km.²) ziemi uprawnej mamy 2,774 mieszkańców, gdy w Anglji 2170, a w Stanach Zjednoczonych 229.

Gleba japońska nie pozwala już zwiększyć eksploatacji, gdy przyrost naturalny nie maleje. Japonji potrzeba rzeczywiście — nie jak Włochom czy Niemcom — miejsca na ekspansję, pod groźbą głodowej śmierci.

...Cóż uczyni Europa? Cóż uczyni Anglja?

Samiśmy zbudzili smoka. Japonja drzemała przez dwadzieścia pięć wieków. Dwa razy w czasie swej historji (za panowania Dżimmu Tenno w 660 r. przed Chrystusem) zajęła obszary, leżące poza jej granicami.

Nagle w 1853 i 1863 r. „czarne statki barbarzyńców" (angielskie i amerykańskie) zakłóciły spokój, królujący w Japonji. Bomba wybuchła. Obcy żołnierze wylądowali na ziemi Nipponu. Starli się z żołnierzami japońskimi, zbrojnymi w łuki i strzały. Tak samo obecnie „cywilizuje się" Abisynja.

Japonja podjęła rękawicę. W 80 lat dogoniła mocarstwa białych, stworzyła flotę według angielskich wzorów, armję na wzór pruski i system przemysłowy, oparty na zasadach amerykańskich. Czegoś podobnego nie widziało się jeszcze nigdy w dziejach ludzkości.

Dziś Japonja jest pierwszą potęgą Pacyfiku.

A jutro?

Na tem polega niepewność.

---

*) Chodzi o terytorjum należące uprzednio do Niemiec i nazwane przez nie: „Deutsch Südwestafrika".

TADEUSZ WITTLIN

# Najpiękniejsza nowela lotnicza

Życie literata bynajmniej nie jest usłane różami.

Siedziałem właśnie pochłonięty całkowicie pisaniem tęsknej ballady, gdy natchnienie przerwał mi dzwonek telefonu.

— Tu mówi redakcja tygodnika lotniczego: „Frrrr!" — zabrzmiał w słuchawce groźny baryton.

— Moje uszanowanie. Słucham. — Skłoniłem się nisko.

— Chcielibyśmy zamówić u Mistrza nowelę.

— Służę.

— Musi być jednak dostarczona nam najpóźniej na poniedziałek, to jest: pojutrze.

— Będzie na mur — przyrzekłem.

— Tylko proszę pamiętać, że utwór ma być maximum na 200 wierszy, poważny, nastrojowy, bez żadnych śmichów-chichów, ponieważ lotnictwo nasze, paniedzieju, to potęga, tężyzna cholera, rozumiesz pan, która przysparza społeczeństwu nowych pokoleń i tworzy przyszłe kadry skrzydlatej młodzieży.

— Rozkaz!

Rozmowa była skończona.

— Ładna historja! — pomyślałem sobie — nowela ma być usmażona za 48 godzin, a ja na lotnictwie znam się akurat tyle, co pies na meldunkach. Żebym chociaż wiedział od czego zacząć.

Wtem wpadła mi do głowy genjalna myśl: zadzwonię do pani Gigi, a ona mnie już świetnie objaśni.

— Hallo! Czy panią doktorową mogę prosić do aparatu?

— Żona wyszła — odrzekł mi spokojny tenor — a pan w jakiej sprawie?

— Pragnąłem poinformować się w kwestji, dotyczącej lotnictwa — wyjaśniłem otwarcie.

— A cóż ma z tem wspólnego moja żona? — spytał.

— Jakto, to pan nie wie? — szczerze zdziwiłem się — przecież pani Gigusia, będąc tej zimy na nartach, nawiązała mały romansik z pewnym pilotem. Całe miasto o tem mówi, a pan nic? He, he! — zarechotałem przymykając szelmowsko jedno oko, jak gdyby mój rozmówca mógł mnie widzieć.

— Jak pan śmie! — ryknął zdradzony mąż.

— Jakto: jak śmiem! — zapłonąłem świętem oburzeniem — powinien pan być dumny ze swej małżonki, która jest świadoma, że lotnictwo nasze, paniedzieju, to potęga, tężyzna cholera, rozumiesz pan, która przysparza społeczeństwu nowych pokoleń i tworzy przyszłe kadry skrzydlatej młodzieży! — słowo w słowo powtórzyłem za redaktorem.

— Ja panu pokażę nowe pokolenia i przyszłe kadry! — zawył rogaty doktór, poczem trzasnął widełkami.

Nic nie wskórałem. A nowela musi być.

I znów spłynął mi genjalny pomysł: przed rokiem napisałem nastrojową i bohatersko - sentymentalno - wzniosłą nowelę z życia ułanów, drukowaną w rasowym tygodniku: „Mój Przyjaciel Koń". (Uwaga, panie zecer: nie Kon, tylko: koń).

— Wezmę, poprostu tę nowelkę — pomyślałem — i oderżnę, zmieniając jedynie jej bohaterom przydział, czyli przeflancowując ich z konnicy do lotnictwa, a w miejsce koni podstawię samoloty.

Ochoczo zabrałem się natychmiast do roboty.

Rozłożyłem przed sobą zbawczy numer „Mego Przyjaciela Konia" i odczytując nagłos poszczególne zdania, przepisywałem je przystosowując jednocześnie do nowych okoliczności.

„... — Panie poruczniku! — zawołał rotmistrz targając sumiastego wąsa — rozumiem, że noc ciemna, niebezpieczeństwo grozi z za każdego krzaka, a i rozbić się o kamienie można, lecz tylko do was mam zaufanie. Musicie pojechać na rekonesans..."

Przeczytałem, poczem chwyciłem za pióro i napisałem:

„... — Panie poruczniku! — zawołał rotmistrz targając ochronne okulary — rozumiem, że noc ciemna, niebezpieczeństwo grozi z za każdego obłoka, a i rozbić się o chmury można, lecz tylko do was mam zaufanie. Musicie wypuścić się na rekonesans..."

Zaczem czytałem dalej:

„... — Rozkaz, panie rotmistrzu! — zasalutował porucznik stuknąwszy achillesową piętą i dzwoniąc ostrogami wybiegł do stajni..."

I napisałem:

„... — Rozkaz, panie rotmistrzu! — zasalutował porucznik stuknąwszy ikarową piętą i dzwoniąc spadochronem wybiegł do hangaru..."

Zadowolony z siebie, przeczytałem dalej:

„... — Hej! Okulbaczyć mego karego bułanka! — zakrzyknął do wiernego ordynansa. Atoli po chwili, blady, jak upiór, zameldował się u dowódcy:

— Panie rotmistrzu! Melduję posłusznie: skradziono uzdę!

Rotmistrz zmarszczył brwi i odrzekł:



**ODZNACZENIE PRZEWODNICZĄCEGO Z. H. P. WOJ. DR. M. GRAŻYŃSKIEGO**

Naczelny Skaut Swiata Lord Baden-Powell nadał Przewodniczącemu Z.H.P. woj. dr. M. Grażyńskiemu „Odznakę Srebrnego Wilka".

Odznaka ta nadawana jest za wielkie zasługi, położone około rozwoju ruchu skautowego.

Ogłoszenie nadania odznaki woj. Grażyńskiemu nastąpiło w bardzo uroczystej formie, w czasie dorocznej zbiórki skautów angielskich, posiadających stopień „Skauta Królewskiego", w kaplicy św. Jerzego w Westminsterze 23 b. m., jako w dniu patrona skautów.

Woj. Grażyński jest pierwszym Polakiem odznaczonym wysoką odznaką angielską.

— Trudno! Wroga jednak wypatrzeć trzeba. Żal mi was, poruczniku, ale musicie pojechać bez uzdy!

— Rozkaz!...“

Świetne, prawda? Napisałem więc:

„... — Hej! Naoliwić mego szarego erwudziaka! — zakrzyknął do wiernego ordynansa. Atoli, po chwili, blady, jak upiór, zameldował się u dowódcy:

— Panie rotmistrzu! Melduję posłusznie: skradziono śmigło!

Rotmistrz zmarszczył brwi i odrzekł:

— Trudno! Wroga jednak wypatrzeć trzeba. Żal mi was, poruczniku, ale musicie polecieć bez śmigła.

— Rozkaz!...“

I znów odczytałem:

„... W niespełna minutę stał gotowy do drogi konik porucznika i oczekując swego pana, niespokojnie grzebał nóżką...“



I napisałem:

„... W niespełnia minutę stał gotowy do drogi samolocik porucznika i oczekując swego pana, niespokojnie przebierał kółkami...“

Doskonale! Czytać dalej!

„... A nóżki miał rasowe, pęciny zgrabne, kopyta świetnie podkute. Sam również był przepiękny. Gdy tak stojąc, poruszał głową i robił bokami, wygląd miał majestatyczny i przypominał konika polnego...“

Szybko pióro skrzypi po papierze:



„...A kółka miał rasowe, osie zgrabne i całe podwozie świetnie zmontowane. Sam również był przepiękny. Gdy tak stojąc, poruszał sterem i trzepotał skrzydłami, wygląd miał majestatyczny i przypominał motyla polnego...“

W dalszym ciągu pogrążyłem się w lekturze:

„...Porucznik dosiadł szybkonogiego wierzchowca i pogalopował wdal, by o północy znaleźć się na nieznanej mu, leśnej drodze...“

Hej, pisać żwawo!

„...Porucznik dosiadł szybkomotorowego płatowca i poleciał wdal, by o północy znaleźć się na nieznanej mu, mlecznej drodze...“

W godzinę nowela była gotowa i w terminie odesłana do redakcji.

Doprawdy nie rozumiem, czemu do dzisiejszego dnia nie została jeszcze zamieszczona.

## Komitet propagandy przy M. S. Z.

Komitet Propagandy przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pod przewodnictwem p. Min. Jadwigi Beckowej, zorganizował w tym roku Konkurs Dekoracji Stołów, zapraszając do uczestnictwa wszystkie placówki dyplomatyczne w Warszawie.

Tematem Konkursu jest nakrycie i udekorowanie stołu do śniadania na 8 osób, przyczem warunkiem jest, że wszystkie przedmioty użyte do dekoracji i nakrycia muszą pochodzić z danego kraju. Będzie to zatem ciekawy przegląd wytwórczości, a zarazem charakterystyka smaku i kultury oraz zwyczajów różnych krajów.

Pokaz stołów uczestniczących w Konkursie będzie dostępny dla publiczności przez tydzień, od dn. 21 do 27 maja w lokalu I. P. S., Królewska 13.

W Konkursie bierze udział kilkanaście państw, a szereg innych, którym trudności techniczne nie pozwoliły dostosować się ściśle do warunków, przedstawi stoły poza konkursem.

Ponieważ dekoracja stołu wiąże się z zagadnieniem kultury wnętrza, które zawsze budzi u nas wielkie zainteresowanie, nie wątpimy, że pokaz zgromadzi całą kulturalną publiczność stolicy.



## Francuzi i Hiszpanie w Warszawie

Dnia 4-go kwietnia bawiła w Warszawie wycieczka złożona z 96 Francuzów i Hiszpanów, którzy zatrzymali się w Polsce w drodze powrotnej z Moskwy, na mocy specjalnej umowy między Oddziałem Orbisu w Paryżu a Intouristem. Goście zwiedzili przedpołudniem miasto—a po południu Wilanów, otrzymali również od Orbisu materjał propagandowy w językach obcych dotyczący Warszawy i Polski. Jest to pierwsza tak liczna wycieczka hiszpańska. Uczestnicy wycieczki wyrażali się z zachwytem o Warszawie i jej zabytkach.

# ŚWIAT MUZYKI

**Ottorino Respighi**

Świat muzyczny we Włoszech poniósł wielką stratę. W 56 roku życia zmarł Ottorino Respighi. Z pośród licznych współczesnych kompozytorów włoskich jego dzieła w Polsce są najlepiej znane i obdarzane największą sympatją. Powodzenie swe zawdzięcza Respighi temu, że współczesność jego muzyki niezbyt razi ucho przeciętnego słuchacza nieprzyzwyczajonego do zbyt radakalnych utworów. Charakteryzuje go rozważna powściągliwość; raczej stosował środki zdobyte przez innych niż sam je zdobywał, wybierając przeważnie te, które wzbogacają brzmienie. Respighi'ego nie pociągała absolutnie muzyka spekulatywna, mózgowa, to też z pośród kompozytorów współczesnych bliższy mu był Debussy niż Ravel, Strauss niż Strawiński.

Żywiołem Respighi'ego jest orkiestra. Jeżeli chodzi o środki harmoniczne, obraca się w kręgu starych przyzwyczajeń tonalnych, używając tych środków, które mile brzmią. Tak często spotykana u niego bitonalność, połączona z wspaniałą kolorystyką instrumentalną i z żywą rytmiką dają w sumie wspaniałe obrazy słuchowe. Niewyrzekanie się melodji w tradycyjnem znaczeniu, tak typowe dla muzyki włoskiej, pozyskuje tę sympatję przeciętnego słuchacza dla muzyki współczesnej.

Dzieła Respighi'ego niepozbawione głębokich walorów artystycznych jak np. „Fontanny rzymskie" spełnią nietylko tę rolę popularyzowania nowych środków wyrazu, ale dzięki napięciu uczucia, poezji i czarowi jakie z nich biją pozostaną w żelaznym repertuarze symfonicznym.

**Ostatnie kompozycje młodych muzyków**

Redakcja „Biuletynu", wydawanego przez Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej, przeprowadziła ankietę wśród młodych kompozytorów polskich na temat „Co mam na warsztacie kompozytorskim?" Okazało się, że mimo ciężkich nieraz warunków materjalnych, młodzi twórcy nie próżnują. *Michał Kondracki* ukończył koncert fortepianowy i utwór na małą orkiestrę symfoniczną.

*Feliks Łabuński* skomponował, „Diver timento" na flet i fortepian, a kończy utwór na wielką orkiestrę symfoniczną.

*Jan Maklakiewicz* napisał wielki poemat „Ostatnie werble", który wykonano w radjo poraz pierwszy 12-go maja, jako w rocznicę śmierci Marszałka. Jest to kompozycja oparta na historycznych wspomnieniach, waleczności żołnierza Polaka pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Począwszy od „Bogurodzicy" poprzez pieśni robotnicze 1905 r., pieśni legjonowe, przechodzi kompozytor do punktu kulminacyjnego. Jest nim Hymn Narodowy i „Pierwsza Brygada". Potem następuje załamanie — śmierć, pogrzebowe werble i kołysanka do wiecznego snu.

Również 12-go maja wykonano ostatnią kompozycję *Bolesława Woytowicza* „Poemat żałobny", którego treścią jest nie sama postać Marszałka, lecz jej abstrakcyjny symbol, idea — Myśl i Czyn Wodza.

Najmłodsi kompozytorzy, jak *Kisielewski, Lutosławski, Panufnik i Ekier* mają ukończone miniatury fortepianowe, pieśni, kwartety i utwory orkiestralne. *H.*







REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

# ŚWIAT FILMU

## Sześcioletnia Shirley Temple najpracowitsza gwiazda

Wśród najmłodszych aktorów filmowych najbardziej lubianą jest niewątpliwie sześcioletnia Shirley Temple. Gdybyśmy zapytali naszych czytelników, którego z aktorów, lub którą z aktorek najwięcej kochają, to odpowiedź byłaby jednogłośna: Shirley Temple.

O jej popularności świadczą listy, jakie Shirleyka otrzymuje ze wszystkich stron z prośbą o fotosy, autografy i t.p. Bardzo wiele listów, adresowanych do Shirley, przechodzi do polskiego przedstawicielstwa wytwórni, dla której Shirley pracuje. Wśród tych listów nie brak pięknych wierszyków na cześć ukochanej gwiazdki, niedawno zaś jeden z wielbicieli jej talentu nadesłał piękne pudło czekoladek z prośbą o przesłanie go wraz z liścikiem do Hollywood. Shirley odpłaca się wzajemną wdzięcznością swoim wielbicielom i wielbicielkom. Pracuje dla nich, by im życie umilić, tworząc coraz to nowe filmy.

Niedawno widzieliśmy w Warszawie „Roześmiane Oczy" i „Złotowłosego Brzdąca". Czeka nas wkrótce szereg dalszych niespodzianek — nowych obrazów naszej ulubienicy.

Ujrzymy więc Shirley w filmie „Bunt Najmłodszych" i następnie „Kapitan January".





## Wycieczka do Zaleszczyk i Rumunji

Warszawskie placówki Orbisu przyjmują zapisy na 15-dniową wycieczkę do Zaleszczyk i Rumunji. Wycieczka wyruszy 16 maja.

Cena uczestnictwa (114 zł.) obejmuje przejazdy kolejowe oraz pełne obfite utrzymanie w dobrym pensjonacie. Na miejscu zorganizowane zostaną wycieczki w okolice Zaleszczyk i do Rumunji.

## Nowy film Gladys Swarthout

Partnerka Jana Kiepury w jego pierwszym amerykańskim filmie p. t. „Pieśń miłości" ukaże się w nowym obrazie p. t. „Rozwiedźmy się", według słynnej sztuki Sardou. Partnerami Gladys Swarthout są Herbert Marshall i Cary Grant.

## „Złe oko"

Znana jest wiara włochów w „malocchio" (złe oko), we wszelkie „jettatury" (uroki), i tym podobne przesądy. Król Alfons XIII uchodzi we Włoszech za jednego z najbardziej niezawodnych „jettatorów" na świecie. Trzeba przyznać, że istotnie były monarcha sprowadza na ludzi różne kataklizmy samą swoją obecnością, a i osobiście niejednokrotnie bywał w tarapatach, zamachach i t. p. okolicznościach niezbyt przyjemnych.

Ostatnio w Wiedniu — znów się to „złe oko" przypomniało.

Alfons XIII, bawiący nad Dunajem z racji jakiegoś ślubu rodzinnego, stanął, jak zwykły śmiertelnik, w hotelu, i, jak zwykły śmiertelnik, wsiadł do windy. Tylko, że zwykły śmiertelnik naciska guzik i jedzie na to piętro, które mu jest potrzebne, a pechowy monarcha naciska guzik — i staje między piętrami. I stał tak, nieboraczek, półtorej godziny.

## Week-endowe wycieczki Orbisu

17.V. Loty okrężne nad Warszawą. Cena zł. 7 obejmuje przejazd w obie strony autobusem na lotnisko (Okęcie), zwiedzanie lotniska i propagandowy lot okrężny nad Warszawą.

16.V Wycieczka week-endowa do pałacu w Teresinie. Cena zł. 8 (wykwintna kuchnia, sala balowa, bridge, radjo, sporty, staw w prześlicznym parku). Idealne miejsce wypoczynku.

Zapisy i informacje — we wszystkich placówkach Orbisu w Warszawie.

# ŚWIAT FILMU

**„Pieśń Miłości"** **Europa**

Pierwszy amerykański film Kiepury zawiódł nasze oczekiwania. Zawiódł Kiepura i zawiódł film. Kiepura ma duże trudności językowe. Wymagać od tenora śpiewania i wysławiania się w obcym języku to już dużo. Ale wymagać, żeby mimo takich „technicznych" trudności tenor grał i żył przed objektywem, to już przesadny optymizm. Kiepura zesztywniał, przestał się ruszać. To, co w grze naszego spiewaka pozostało — są to nędzne resztki tego, czego wytwórnie europejskie go nauczyły w ciągu ostatnich lat. A że głos znakomitego śpiewaka został częściowo zniekształcony, że aparatura w momentach *forte* drze się nie do zniesienia, więc z Kiepury — jako atrakcji — zostało niewiele.



*Sylvia Sidney i Fred McMurray, bohaterowie filmu „Nieokiełzana" (tytuł oryginalny: „The trail of the lonesome pine"). Niezwykły ten obraz, reżyserji Henry Hathawaya wykonany jest całkowicie w kolorach naturalnych. Fot. Paramount.*

Gorzej, że z filmu nie zostaje nic. Scenarjusza niema—bo i poco? Kiepura i scenarjusz? To już chyba zadużo, pomyślała wytwórnia i wypełniła program od początku do końca Kiepurą i Gladys Swarthout.

Amerykańska śpiewaczka nie stanowi rewelacji. Dobry głos, świeża uroda, dziewczęca figura, pewne otrzaskanie z objektywem i nic pozatem. To jeszcze zamało.

Bohaterzy śpiewają od początku do końca. Akcja banalna nie utrudnia im tego zadania.

W rezultacie osiągamy wrażenie, że amerykańscy bussinessmani zrobili co można, aby „wyżyłować" Kiepurę do ostateczności najmniejszym nakładem kosztów, ufając, że znane nazwisko wystarczy za film.

*J.*



*Polski kapelmistrz Franciszek Witkowski, występuje z wielkim powodzeniem na dancingu „Paradis" w Warszawie.*




*Gary Cooper, który odniósł w swym ostatnim filmie „Pokusa" prawdziwy triumf, ukaże się w obrazie p. t. „The Texas mool" obok Jacka Oakie.*

*Fot. Paramount.*








REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „SWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa